NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. L.. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 30 czerwca 1906 r. | Nr. 26.

Potworna zbrodnia bandytów.

(Treść na stronie 2).



Od Administracyi.

Wszystkim P. T. Prenumeratorom naszym, ze względu na konieczność uregulowania nakładu, przypominamy z powodu kończącego się drugiego kwartału i pierwszego półrocza, że **czas odnowić prenumeratę, która w Galicyi wynosi z przesyłką pocztową kwartalnie tylko 4 korony, w Królestwie Polskiem bez odsyłania kwartalnie 1 rb. 80 kop., półrocznie 3 rb. 60 kop.; z przesyłką pocztową kwartalnie 2 rb. 60 kop., pół-rocznie 5 rubli 50 kop.**

Wszyscy Abonenci, którym prenumerata z niniejszym numerem już się skończyła, otrzymają wewnątrz numeru przekaz pocztowy. W Galicyi należy nadsyłać prenumeratę wprost do centralnej Administracyi naszego pisma

w Krakowie, ulica Zacisze l. 7.

w Królestwie Polskiem do biur G. Ungra w Warszawie, ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Nowoprzystępujący Abonenci otrzymają **bezpłatnie** początek drukujących się obecnie w „**Nowościach Illustrowanych**“ powieści sensacyjnych pt.: „**Ofiary Wampirów**“, oraz „**Zbrodnia za zbrodnią.**



Koronacya Hakona VII: Świeżo ukoronowany jako Hakon VII, król samodzielnej Norwegii.

Potworna zbrodnia bandytów.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed tygodniem spełniono straszną zbrodnię w Janowie w Królestwie Polskiem.

Wymordowano tam całą rodzinę Belcingerów i zabrano dwadzieścia tysięcy rubli.

Syna Belcingerów, chłopca trzynastoletniego, ucznia gimnazyalnego, zmuszono do trzymania świecy podczas mordowania ojca, matki, braci i sióstr.

Chłopak ten zwaryował, a to, że go mordercy zostawili przy życiu, zawdzięcza jedynie okoliczności, iż dzień przedtem oddał on jakąś przysługę przypadkową jednemu ze zbirów.



Koronacya Hakona VII: Starożytna katedra w Drontheim, w której koronują się wszyscy królowie Norwegii.

Strażnicy przyłapali w Kalinówce morderców; było między nimi dwóch wyrostków, dwóch włościan miejscowych i kobieta; do Janowa przybyli z Kijowa. Podczas aresztowania bronili się zawzięcie. Jednego z nich zabił wśród tego strażnik, drugiego pokaleczyli śmiertelnie miejscowi mieszkańcy.

Pieniądze zrabowane znaleziono we włosach kobiety.

Do jakiego stopnia potworna ta zbrodnia wzburzyła całe miasteczko, dowodzi fakt, że mieszkańcy domagali się stanowczo wydania im więźniów, żeby się mogli z nimi sami rozprawić.



Koronacya Hakona VII: Nowy herb państwowy samodzielnego królestwa Norwegii, po oderwaniu się od Szwecyi.

Koronacya Hakona VII.

Epokowe wypadki, rozgrywające się obecnie w Rosyi, tak zajęły opinię całego świata, że wszystkie inne, niemniej doniosłe wypadki polityczne, usunięto na plan drugi. Tem się tłómaczy fakt, że o koronacyi króla Hakona VII w Norwegii



Koronacya Hakona VII: Królewicz Olaf, następca tronu samodzielnej Norwegii, jedyny syn młodej pary królewskiej.

wspominano mniej w dziennikach, chociaż doniosłość tego uroczystego aktu nosi na sobie wybitne historyczne piętno.

Jak wiadomo, 7 czerwca ubiegłego roku storting norweski zerwał unię ze Szwecyą i oddał w ręce narodowi do rozstrzygnięcia kwestyę, czy Norwegia ma być królestwem czy republiką. Większość narodu oświadczyła się za królestwem, storting zaprosił więc na tron królewicza duńskiego, który ofiarowaną mu koronę przyjął i we wrześniu przybył wraz z małżonką do Chrystyanii, gdzie objął rządy pod imieniem Hakona VII.

Uroczystość koronacyi młodej, a ze wszech miar sympatycznej pary królewskiej wyznaczono na dzień 22 czerwca br. Król i królowa Maud razem z następcą tronu trzechletnim księciem Olafem, przybyli na admiralskim okręcie „Heimdal“ dnia 19 czerwca do Drontheim, starożytnego miasta norweskiego przy ujściu rzeki Rei do Drontheimsfiord; w mieście tem znajduje się starożytny kościół katedralny, najpiękniejszy na całym półwyspie skandynawskim, którego fotografię podajemy obok. W murach tej świątyni odbywały się zawsze koronacye królów norweskich, którzy wystawili tam nawet skromny, jak to już jest we zwyczaju Norwegów, pałacyk królewski, który Czytelnicy widzą również na załączonej obok rycinie. Drontheim, które w ubiegłym tygodniu rozlegało życiem i uroczystościami koronacyjnymi, założone zostało w roku 997. W XI. i XII wieku było rezydencyą królewską, potem upadło; zawsze jednak koronacya królów norweskich odbywała się w tem najstarszem mieście Skandynawii. Można powiedzieć, że Drontheim jest dla Norwegów tem, czem Kraków jest dla Polaków.

Właściwa uroczystość koronacyjna odbyła się



Koronacya Hakona VII: Świeżo ukoronowana królowa Maud, małżonka króla norweskiego.

w katedrze dnia 22 czerwca, o godzinie 11 rano. Wieczorem tego dnia odbył się w parku bankiet galowy, w którym wzięli udział wszyscy przybyli na uroczystość goście i reprezentanci dworów zagranicznych oraz wybrańcy narodu ze stortingiem na czele.

Z okazyi koronacyi zamieszczają pisma francuskie szereg interesujących szczegółów o życiu



Koronacya Hakona VII: Tak teraz wygląda nowy herb państwowy królestwa Szwecyi, po oderwaniu się Norwegii.

na dworze norweskim. Że na dworze tym panuje prąd czysto demokratyczny, to jest rzeczą łatwo zrozumiałą wobec znanych liberalnych przekonań Norwegów. Na mnóstwo urzędów dworskich, szereg dostojników, od jakich roi się na innych dworach, na dworze norweskim niema miejsca. Dlatego to niema tam także zupełnie prawie tej czasem aż do przesady doprowadzanej etykiety dworskiej. Król niejednokrotnie, chcąc wybrać się za miasto, siada po prostu do tramwaju i jedzie razem ze swoimi poddanymi. Królowa sama powozi małym koczykiem przejeżdżając przez ulice Chrystyanii. Norwegczycy mają tedy zawsze prawie parę królewską wśród siebie a węzeł serdeczności między władzą a narodem zacieśnia się przez to silniej, aniżeli gdyby dwór błyszczał na zewnątrz przepychem i etykietą. Król Hakon i królowa Maud, których portrety zamieszczamy obok, w ciągu tegorocznej zimy brali udział we wszystkich zabawach chrystyańskiego klubu sportowego, bawili się razem z narodem w zwyczajnych strojach sportowych. Z nimi był zawsze i wszędzie obecny mały Olaf, następca tronu, dzieciak żywy i wesoły, którego Norweżki tak pokochały, że go nie puszczały prawie z rąk, gdy się ukazał w swoim wózeczku w miejskim ogrodzie. Popularność młodej pary królewskiej rośnie wśród ludu z dnia na dzień, bo tak Hakon VII jak i jego małżonka królowa Maud są ludźmi na wskroś postępowymi i prostymi. Dość wspomnieć, że tak król jak i królowa niejednokrotnie wchodzą do sklepów i sami sobie załatwiają sprawunki.

Wobec tego, że od dnia koronacyi Hakona VII. weszła Norwegia w poczet królestw europejskich, a więc niema już nic wspólnego ze Szwecyą, musiano zmienić dawny herb szwedzki, który dzisiaj wygląda tak, jak go Czytelnicy widzą na zamieszczonej obok rycinie. Norwegia zaś otrzymała teraz herb własny, według wzorów dawnych, również na naszej rycinie uwidoczniony. Z okazyi koronacyi wybito medal pamiątkowy.



Koronacya Hakona VII: Pałacyk królewski w Drontheim.



Koronacya Hakona VII: Medal wybity na pamiątkę koronacyi norweskiej pary królewskiej.

Pionerzy oświaty ludowej na Śląsku.

Ruch narodowy wśród ludności polskiej na Śląsku datuje się od lat kilkudziesięciu. Początkowo skupiał on się przeważnie w Cieszynie, gdzie w Czytelni ludowej zbierała się inteligencya ślązka. Z czasem powstały różne Towarzystwa narodowe, krzewiące oświatę wśród ludności wiejskiej, prawie zupełnie zaniedbanej. Między innemi wyszczególniło się w ostatnich dziesięciu latach Tow. „Jedność" przez gorliwą pracę, zwłaszcza w swoich oddziałach rozrzuconych po całym Śląsku. Powstały liczne Kółka amatorskie, urządzające przedstawienia teatralne. Członkowie tych Kółek, to przeważnie robotnicy przemysłowi lub rolni, którzy pod kierownictwem nauczycieli ludowych, często nawet samych robotników, ćwiczą się w poważnej pracy nad oświeceniem ludu, uprzyjemniając tem czas samym sobie, a gotując słuchaczom przyjemną rozrywkę.

Pora do pracy, do pracy wielkiej i owocnej, sposobna. Jesteśmy na Śląsku wprawdzie dosyć liczni, ale też mamy przeciw sobie dwie straszliwe zmory, które sprzysięgły się na nasz żywot: germanizacyę i czechizacyę. Szkolnictwo nasze cierpi pod wpływem germanizacyjnym, a sąsiedzi Czesi odrywają nam z zachodu po skibie naszej ziemi rodzinnej. Tylko oświata i uświadomienie ludu położy tamę tej podwójnej klęsce. Przedstawienia teatralne i odczyty pouczające działają bardzo skutecznie w tym względzie.

Do najruchliwszych Kółek amat., zorganizowanych obecnie w Sekcyę teatru ludowego na Śląsku, należy „K. a." w Łazach, gminie przemysłowej powiatu frysztackiego. Członkami tegoż Kółka są wyłącznie górnicy i robotnice przemysłowe. Przewodniczącym jest p. Pytlik Jan, górnik; reżyserem nauczyciel Jan Szuścik, przewodniczący Sekcyi teatru ludowego. Jego to energii i staraniom zawdzięczyć należy, że przedstawienia tego Kółka są zawsze nadzwyczaj staranne.

Życzyć by sobie należało, ażeby wędrowne trupy teatralne polskie, przybywały i do tej starej, a zapomnianej prawie Piastów dzielnicy ua Śląsk. Corocznie zjeżdżają tam trupy niemieckie i czeskie i robią interesy na kieszeni ludu naszego, a nasze polskie wędrowne trupy zapomniały o tem, że na Śląsku wschodnim mieszka przeszło dwieście tysięcy Polaków i że przedstawienia takie opłaciłyby się przedsiębiorcom. Tylko odwagi!

Illustracya nasza przedstawia grupę amatorów „Kółka" w Łazach.



Pionerzy oświaty ludowej na Śląsku: Najruchliwsze na Śląsku Kółko amatorskie w Łazach w powiecie frysztackim; w środku na przedzie, mając u stóp tablicę, siedzą: reżyser Kółka, nauczyciel Jan Szuścik, przewodniczący Sekcyi teatru ludowego na Śląsku, oraz górnik Jan Pytlik, przewodniczący Kółka w Łazach.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

14 Ciąg dalszy.

Trzeba koniecznie zdążyć do najbliższej stacyi kolejowej i na łeb na szyję pędzić za granicę pierwszym kuryerem, a przynajmniej trzeba dostać się co rychlej do pierwszej lepszej osady ludzkiej i zasięgnąć języka co do tego, jak i którędy możnaby w najkrótszym czasie dostać się do kolei.

Kusicielka „pod czaplą“.

Po długiem błąkaniu się po kniei wyszedł Ludwik nareszcie na jakąś drogę, gdzie przedewszystkiem wzrok jego padł na drogowskaz.

Miejscowość Rybiszki, do której tędy można było zajść, a od której dzieliły go zaledwie dwie wiorsty — przypomniała Remanowi, że mu nazwa tej osady nie jest bynajmniej obcą.

Miał niegdyś przelotną znajomość w małej restauracyjce w Łodzi, gdzie naówczas jadał obiady. Poznał ładną kelnerkę, Lolę Czaplicką, której ojciec był właścicielem zajazdu w Rybiszkach. O tożsamości tej wioski nie mógł wątpić teraz, zapamiętał sobie bowiem, że właśnie z rozmów z ową dziewczyną jedynie, znał nieco zwyczaje Łotyszów i starowierów rosyjskich; więc nie przypuszczał, by miejscowości tej nazwy było więcej w tych stronach, wiedział zaś na pewne, że w bliskich i dalszych okolicach Rożniewa mieszkają tylko Łotysze i starowiery.

Zresztą jak przez sen przypominał sobie jeszcze, że kupował na kolei bilet dla Loli do jednej z bliskich stacyi poza Dźwińskiem. Wszystko zatem zgadzało się. Powinien był dziewczynę, która w nim się kochała, zastać teraz w domu ojcowskim, gdyż właśnie wróciła ona wprost do Rybiszek w czasie, gdy po zaprowadzeniu monopolu w Królestwie, rugowano z lokalów restauracyjnych bawarki — jak zazwyczaj przez długie lata nazywano tam kelnerki po bawaryach.

Szło o to jedynie, by odnaleźć coprędzej zajazd „pod czaplą“ w Rybiszkach.

Nie było o to trudno. W kwadrans bowiem później przeczytał tablicę z urzędowym napisem, że znajduje się w poszukiwanej wiosce, o kilkanaście zaś kroków dalej, zdala jeszcze od grupy chat wiejskich, ujrzał przy drodze duży dom z rozległym dziedzińcem, pełnym śladów niedawnego postoju licznych wozów i łatwo się domyślił, że zbliża się do zajazdu.

Nad bramą, w pocieszny sposób wymalowana ogromna czapla, upewniła go, że się nie mylił, jakkolwiek żadnych znaków nie odnalazł z nazwiskiem właściciela.

Ojciec Loli, Gerwazy Czaplicki, był starym sybirakiem. Urodził się na zesłaniu w katordze, gdzie jego rodzice dokonali życia, wygnani niegdyś z Litwy, po powstaniu, za wybitny udział w ruchu rewolucyjnym, za co też skonfiskowano im piękny majątek szlachecki w Grodzieńskiem.

Gerwazy, powróciwszy do kraju bez grosza z Syberyi, ożenił się w Dźwińsku z jakąś dworska klucznicą i za jej oszczędności założył przy drodze, u wstępu do Rybiszek, duży zajazd dla podróżnych. Powodziło mu się dobrze, a kiedy owdowiał, zaczął jedyną córkę przyuczać, by mogła w jego starości zająć się całkowicie interesem.

Lola wszakże, odziedziczywszy po matce wielką zalotność, sprawiała ojcu wiele kłopotu od lat najmłodszych.

Kiedy miała zaledwie lat piętnaście, dała się łatwo uwieść jednemu ze stałych gości szynkowni ojcowskiej, a był nim „gradowoj“ z pobliskiego miasteczka.

Czaplicki zastrzelił za to w lesie uwodziciela córki, ją zaś samą w złości strasznej, że się do tego stopnia zadawała z Rosyaninem, wypędził w pierwszej chwili z domu. Później, wprawdzie chciał jej przebaczyć i przyzywał ją do siebie, potrzebując w interesie pomocy dziewczyny, ale było już za późno. Lola wracać nie chciała, będąc w Warszawie bawarką w popularnej restauracyi ogródkowej.

Miała zarobki duże i bawiła się wybornie, więc jej się nie chciało wracać do cięższej roboty u ojca.

Zakochawszy się raz w jakimś młodym oficerze, przeniosła się za nim do Łodzi z chwilą, gdy go tam stacyonowano. Ale oficer nie był wcale jej wierny i pokłóciwszy się o jakąś inną kobietę z kolegą, zginął w pojedynku. Wtedy Lola zostawszy bez środków utrzymania, wzięła się z powrotem do kelnerstwa i w tych czasach, właśnie zaznajomiła się z Ludwikiem Remanem, o którym wiedziała, że pracuje w kantorze milionera Goldenthala.

Do Rybiszek wróciła jedynie dlatego, że dostała wiadomości, iż ojcu jej paraliż odjął władzę w nogach i lekarze nie rokują mu długiego życia, więc jako spadkobierczyni dobrze rentującego się zajazdu „pod czaplą“, mogłaby przynajmniej korzystnie spieniężyć przedsiębiorstwo po ojcu, gdyby nie miała zamiaru zajmować się niem osobiście.

Wiedział o tem wszystkiem Ludwik Reman i wchodząc do sieni domu Czaplickiego, pragnął tylko gorąco zastać tam Lolę.

Jakże się ucieszył, kiedy nie potrzebując nikogo o nic pytać, spotkał zaraz w sieni swoją dawną przyjaciółkę.

Mimo, że go tu nie mogła się spodziewać, poznała go Lola od razu na pierwszy rzut oka i uradowana niesłychanie rzuciła mu się na szyję.

— Ludwiś, a ty się tu skąd wziąłeś?

Reman był trochę zażenowany tem pytaniem, na które, nie wiedział w pierwszej chwili, co odpowiedzieć i zapytał przedewszystkiem, gdzieby mógł bezpiecznie ulokować szkatułkę.

Uporała się z tem zaraz Lola, poczem przypatrując się Remanowi, rzekła:

— Nie, doprawdy, śmierci spodziewałabym się prędzej, niż ciebie, Ludwisiu, zobaczyć w Rybiszkach... Jakto dobrze, że ja cię tu mam teraz... Aż inaczej oddecham poprostu, widząc kogoś z Warszawy, czy z Łodzi... Przecież to wściec się można z nudów tutaj, bo pomyślże sam, z kim tu żyć, z kim tu się bawić, choćby pogadać... Już umierałam z nudów i rozpaczy i właśnie przed paru dniami pomyślałam sobie, czyby nie warto mimo wszystko plunąć na te całe Rybiszki i wracać do Warszawy... Jak to poczciwie z twojej strony, żeś ty o mnie, chłopcze, pamiętał... Ledwiem cię zobaczyła, przypomniały mi się te inne czasy moje... Ach, jak to było wesoło, prawda, Ludwiś, co? Czemuż ty nic nie gadasz? No, powiedzże mi, coś ty robił w tych stronach, żeś sobie wreszcie przypomniał i Lolę w Rybiszkach...

Ludwik siedział w krześle, w milczeniu słów jej słuchając. Dopiero teraz uczuł, jak bardzo zmęczyły go i wyczerpały przygody wszystkie z ostatnich dwóch dni...

— Ależ jak ty, chłopcze, wyglądasz — zawołała naraz Czaplicka, lepiej mu się przyglądając. — Cały przeziębłeś, musisz być głodny... Poczekaj, w tej chwili ci służę... Rozgość ty się, proszę, jakbyś był u siebie, a ja zaraz przyniosę co jeść i pić... Pa...

Rychło później pokrzepił się Ludwik i rozgrzał w jej pokoju.

A wówczas zasypywany pytaniami Loli, opowiadał jej swoje przygody, jednakowoż o tyle tylko, o ile mógł ją w nie wtajemniczać. Jedno zataił, drugie przedstawił inaczej niż było w istocie, byle tylko dostatecznie upozorować powody, dla których znalazł się przypadkiem w Rybiszkach.

— Więc szkatułka zawiera pieniądze — zagadnęła go naraz Lola — dużo tam jest, co? — dodała, ciskając ku niemu błyski z oczu.

Reman dał odpowiedź wymijającą i już zaczynał żałować, że nawet, jak dotychczas, słów oszczędzając, jeszcze musiał powiedzieć za wiele.

A wtedy ona nachyliła się do niego i śmiejąc się filuternie, szepnęła:

— Świsnąłeś z kasy Goldenthalowi i fiut — zakończyła gestem swawolnego łobuza.

— Nie — zaprotestował Reman surowo i stanowczo — absolutnie mylisz się...

— Szkoda — westchnęła Lola i sposępniała nagle.

Poruszył się Ludwik w krześle.

— Jakto szkoda... co ty powiadasz... nie rozumiem twojej myśli...

— Naturalnie że szkoda... Ja się już tak ucieszyłam... Teraz nie będę miała tutaj chwili spokoju...

— Co też ty pleciesz, dziewczyno... wytłómacz się przynajmniej jasno...

— Jak ty, chłopcze, ciężko myślisz i pojmujesz... Wszak to jest zupełnie jasne... Gdybyś był się porządnie obłowił u takiego bogacza, jak Goldenthal łódzki, to ja bym z tobą dziś jeszcze w świat uciekła za dziesiątą górę... Ani minuty nie namyślałabym się... Pojechalibyśmy sobie daleko, choćby do Ameryki... Takby nam było dobrze razem, Ludwisiu, prawda... Słuchaj, kochasz ty mnie jeszcze... Pamiętasz te czasy w Łodzi, jak to nam było wesoło... A tutaj, w tej dziurze przeklętej, przecież nie sposób wyżyć ani godziny... Ojciec sparaliżowany, chodzić nie może, więc chociaż mam tu służby dosyć i byłoby komu zająć się wszystkiem, to jednak sama muszę się ciągle z ludźmi użerać... A to, powiadam ci, pasye biorą, mieć do czynienia z takimi ludźmi, jak tutaj... To nie Warszawa, nawet nie Łódź... Ach, co za nudy — doprawdy rozpacz! Gdybyś ty miał pojęcie, co ja tu mam za życie... Dziś bym, powtarzam, zostawiła cały kram, jak jest i czmychnęłabym, gdzie pieprz rośnie, żeby mnie nikt nie odszukał... Gdybym tylko miała pieniądze...

— No, przecież ty masz tu bądź co bądź, dostatek...

— Zapewne, nie brak mi niczego, ale widzisz, gotówki niema, więc wyjechać nie ma o czem... Póki stary żyje, nie pozwoli sprzedać interesu, który w każdym razie wart jest dosyć... Więc skądże ja mogę mieć gotówkę... Gdybym miała jeszcze jakie kosztowności... Ale ty wiesz sam, że ja pod koniec wyprzedałam się z potrzeby w Łodzi ze wszystkiej biżuteryi... Dawnoby mnie tu nie było, gdybym mogła zdobyć grubsze pieniądze...

Zamyślił się Ludwik.

Naraz coś mu wpadło do głowy — jakiś pomysł nowy.

— Hm... Czyś ty seryo mówiła, że byłabyś gotowa wyjechać ze mną — spytał poważnie.

— Jak stoję, Ludwiku! Nie będę się ani sekundy wahała. Daję ci na to słowo, jeżeli chcesz, to jeszcze dziś... zgoda?...

— Owszem, moja kochana, możemy jechać razem...

Na to Lola rzuciła mu się na szyję tak gwałtownie, iż wydało się Remanowi, że go udusi. Z trudem udało mu się wyrwać z jej objęć.

— Czekaj... pod jednym warunkiem zgadzam się zabrać cię stąd ze sobą, jeżeli będę mógł tutaj kilka dni pozostać u ciebie... wypocząć sobie należycie po wszystkich przygodach... Ale czy możnaby to tak zrobić, moja droga, żeby nikt nie wiedział o tem, iż jestem w tym zajeździe, ani wogóle, że przybyłem do Rybiszek...

— Ależ owszem... Nikt cię tu nie zobaczy, możesz siedzieć spokojnie, ukryję cię w swoim pokoju i nikt nie potrzebuje cię widzieć ani słyszeć, ani wogóle nikt się nie dowie nic o tobie, jeżeli ci na tem zależy... Bądź spokojny...

— W takim razie zostaję.

Odwalenie grobu.

Na zamku w Rożniewie panowało od paru dni ogromne zamieszanie.

Gdzie się podział baron Goldenthal?

Wiedziano, że wyszedł ze swoim sekretarzem z pałacu do parku i odtąd przepadł. Ślad po nich zaginął zupełnie.

Coś wieczór przebąkiwał baron owego dnia, że musi wybrać się na dłuższą przechadzkę po parku. Wspomniał, że pragnie rozejrzeć się trochę po okolicy.

Zastanawiano się, dlaczego nie kazał sobie powozu przygotować, jeżeli miał ochotę na dalszą wycieczkę...

Należało zatem wnosić z tego, iż musiał wybrać się jedynie na niedaleki spacer po parku.

Parę osób zaręczało, że na pewne wychodził w towarzystwie swego młodego sekretarza.

Ale nikt już nie widział ich później dalej, jak tylko przy samym pałacu.

Nie mogło zatem zajść nic innego nadto, jak tylko to jedno, że zapuściwszy się na swej przechadzce poza park w głąb lasu i zbłądziwszy, nie mogą powrócić.

Służba przebiegła wszystkie aleje parku i na ślad ich nie natrafiwszy, hukała po lesie tu i ówdzie z kraju, aż wreszcie paru ludzi wysłano i głębiej na dalsze poszukiwania w gąszczach kniei w różnych stronach.

Każdy z nich wrócił z niczem.

Więc nowe debaty.

Przecież ani bankiera, ani kantorowicza nie można było podejrzewać o tyle odwagi, by tak zgoła bez potrzeby w las się zapuszczali sami, drogi nie znając — obaj mieszczuchy...

Wszakże zaraz z brzegu byliby się spostrzegli, iż niebezpiecznie iść dalej i byliby zawrócili z drogi.

A tu drugi, trzeci dzień mijał i o Goldenthalu ani o jego towarzyszu ani słychu.

Hrabia Rożniewski spać nie mógł, jeść nie mógł z zaniepokojenia i irytacyi. Wszakże baron był gościem pod jego dachem... Zmartwienie tedy jego było słuszne.

Posłano znowu służbę wszystką z pałacu na poszukiwanie przepadłych.

Hrabia sam kierował akcyą, przeświadczony, że musiało przydarzyć się jakieś wielkie nieszczęście. Baron bowiem pozostawił w pokoju gościnnym w pałacu wszystkie swoje rzeczy w tym stanie, jakby miał był za chwilę zjawić się z powrotem. A nadto do Rożniewa po kilka razy na dzień nadchodziły ważne listy i depesze pilne w interesach bankierskich i fabrycznych to z Warszawy, to z Łodzi, z jego kantorów, albo i z zagranicy odsyłane z Łodzi do miejsca jego chwilowego pobytu, z czego tembardziej można było wnosić, jak były niecierpiące zwłoki...

— Stanowczo nieszczęście jakieś musiało im się przydarzyć — zapewniał hrabia Rożniewski strapiony, tam i z powrotem włócząc się po parku ze służbą, która właściwie nie wiedziała już, co ma tam robić, ponieważ nie pojmowała, jakby mogło dwóch ludzi dorosłych zgubić się w ogrodzie bez śladu.

— Przecież to nie szpilka — powtarzał ekonom, skrobiąc się w głowę.

Wreszcie przyszło coś na myśl hrabiemu i powiada:

— Jedno jeszcze przypuszczam. Miał baron zwyczaj zawsze nosić ogromny złoty łańcuch przy zegarku i palce miewał stale ubrylantowane, na każdym jakiś kosztowny pierścień... Na to mógł się ktoś złakomić... Mógł go jaki rozbójnik napaść, a w razie obrony — zamordować dla obrabowania.. To się mogło ostatecznie przydarzyć gdzieś na kresach parku, kędy zawieruszył się jakiś włóczęga...

Służba perswadowała, że w najbliższej okolicy zamku nie zdarza się nigdy, by się jacyś rozbójnicy włóczyli, a tem mniej, żeby odważyli się w celach rabunku, tak blisko pałacu, zabić aż dwóch mężczyzn.

Mimo to kazał hrabia przeszukać jak najdokładniej zarośla na kresach parku rozległego. Zaglądano pod każdy krzak, wdzierano się w gęstwinę, której od lat wielu nie deptała nigdy noga ludzka.

Na ślady niczyje nie natrafiano wszakże i w dalszym ciągu.

Pies leśniczego wałęsał się z nimi wszędzie, ale zachowywał się zupełnie obojętnie.

— Dopóki mój Pegaz spokojny, nie mamy tu czego szukać — odezwał się leśniczy.

To też kiedy wszyscy weszli wraz z psem na wzgórek, na którym stała stara kaplica zamkowa, leśniczy był bardzo zaintrygowany, widząc, że Pegaz objawia jakiś dziwny niepokój.

— A jednak tutaj Pegaz coś węszy... Może mu idzie o co innego, niż nam, ale w każdym razie trzeba na niego uważać...

Służba dworska zaglądała w zarośla, pilnie szukając trupów bankiera i jego sekretarza.

I do kaplicy zajrzano, lecz przekonano się łatwo, że drzwi nawet były nie otwierane...

Leśniczy wszakże na nic nie zważając, szedł za psem krok w krok... Pegaz obwąchał kamień, który zamykał wejście do krypty z grobami rodziny Rożniewskich, poczem pobiegł żywo w owe gęste zarośla, które zajmowały całą tylną część wzgórza.

Leśniczy poszedł za nim.

Pies zarył się w gąszcz, a jego pan coprędzej rzucił się też w krzaki, przedzierając się przez trudne do przebycia, posplatane z sobą gałęzie, kolcami najeżone...

— Z psem trzeba tu było przyjść zaraz pierwszego dnia — odezwał się sam do siebie leśniczy, zaintrygowany w najwyższym stopniu.

Znikł mu Pegaz z oczu, więc krzyknął na niego. Pies przyskoczył mu nagle do nóg, trącił go pyskiem w cholewę wysokiego buta i zaraz zniknął znowu, naszczekując zcicha.

Za jego głosem posuwał się z trudem leśniczy dalej, zaszywając się zupełnie w gęstwinę. Aż wreszcie przystanął przed żelaznemi drzwiami do głębokiego podziemia, które dobrze już znają nasi Czytelnicy.

Dla niego wszakże była to zgoła rzecz nowa i zdumiewająca.

Tyle lat tu był leśniczym, a pierwszy raz dowiedział się o istnieniu owych drzwi tajemnych. Co prawda, życie jego upływało w lesie jedynie. Ale bądź co bądź, znał przecież i cały park na wylot, znał doskonale i ową kaplicę staroświecką, wiedział, że się pod nią mieszczą grobowce rodzinne hrabiów Rożniewskich, był parę razy świadkiem otwierania i zamykania krypty na pogrzebach, do której wchodziło się, jak wiadomo, z boku kaplicy. Tylko tam nigdy nie zajrzał w zarośla pod tylną ścianą. Ot, gęstwina była zawsze jednaka na tyłach pagórka, więc i pocóż było tam zaglądać...

Teraz dopiero ogarnęło go silne zaciekawienie w tem tajemniczem ustroniu. Od razu nabrał przeświadczenia, że skoro Pegaz go tu przywiódł, musiało tu być coś podejrzanego.

— Może tu wcale nie natrafimy na ślady barona ni jego towarzysza, ale za to znajdziemy tutaj coś niespodziewanego... A zresztą, kto wie, może tu akuratnie stało się jakieś nieszczęście tym dwom panom...

Pies głucho warczał, obwąchując wąskie drzwi żelazne, przymknięte. Leśniczy przyglądał im się ciekawie i zauważył, że w koło progu są widoczne ślady niedawnej bytności ludzi w tem miejscu.

Spróbował drzwi uchylić, lecz napróżno.

Wyszedł więc z gęstwiny, zbliżył się do hrabiego i zdał mu sprawę z tego, co zauważył.

— Przecież nie sposób — rzekł na to Rożniewski — by ci panowie siedzieli od kilku dni w podziemiach...



Służba dworska zaglądała w zarośla, pilnie szukając trupów bankiera i jego sekretarza.

— Więc może tam zginęli, może trupy ich tylko znajdziemy...

— Ależ po co mógłby tam chodzić pan Goldenthal...

— Może tylko z ciekawości, proszę jasnego pana, a potem wyjść już nie mogli...

— Wszystko to możliwe, ale nie pojmuję, jakim cudem mogli się tam dostać... Tych drzwi, od lat Bóg wie ilu, nikt nie otwierał i nikt nie potrafiłby otworzyć...

— A jednak, panie hrabio, te drzwi zostały otwarte niedawno i napewne w tych dniach byli tam jacyś ludzie... Są przecież ślady wyraźne, świeże.. Drzwi zamknięto na nowo, ale szyję dam za to, że były otwierane...

I zwołał służbę, żeby w zaroślach utorowała o ile możności przejście tymczasowe dla hrabiego, który wówczas udał się na miejsce wskazane.

Tu pies już szczekał głośno, niecierpliwiąc się widocznie.

Pracowano długo i mozolnie, zanim udało się otworzyć ciężkie drzwi żelazne.

Wszyscy z przejęciem i zaciekawieniem zajrzeli do środka. Hrabia pierwszy chciał próg przekroczyć, lecz cofnął się z miejsca.

Tuż przed nim leżał u stóp drzwi w kałuży krwi zakrzepłej baron Goldenthal bez znaków życia, widocznie poraniony.

Poszukiwać jego sekretarza nie przyszło już na myśl nikomu wobec tego. Domyślono się bowiem, co zaszło. To młody kantorowicz dla obrabowania swego pryncypała, musiał go zamordować.

Hrabia Rożniewski drżał na całem ciele. Osłupiałym wzrokiem spoglądał przed siebie.

— Co jaśnie pan rozkaże — spytał leśniczy, lecz dziedzic milczał w zamyśleniu.

Nachylił się wtedy leśniczy i obmacał ciało barona.

— Zimny, panie hrabio, ale jeszcze żyw... jak Boga kocham... serce jeszcze nie zamarło...

Aż odetchnął na to hrabia uradowany i pocieszony.

— No, to jeszcze mniejszy kłopot — pomyślał sobie — skoro baron daje znaki życia. Może go się uda docucić...

I natychmiast kazał przenieść go stamtąd do leśniczówki, do której było bądź co bądź bliżej niż do pałacu.

— Tylko nakaż pan ludziom — tu zwrócił się do leśniczego — żeby mi żaden pary z ust nie puścił o całej historyi...

Na leśniczówce obmyto z krwi i błota ciało barona, rozebrano go i położono do łóżka, poczem wzięto się do cucenia nieprzytomnego.

W sąsiedniej izbie oczekiwał hrabia tej chwili z nietajoną niecierpliwością.

— Otworzył oczy — szepnął mu nagle od progu leśniczy.

Rożniewski zerwał się z krzesła i przeszedł żywo do łóżka, na którem właśnie poruszył się z trudem Goldenthal.

— Reman... ten łotr— były pierwsze słowa, jakie wydarły się z ust barona.

Hrabia zamienił wzrok porozumiewawczy z leśniczym. Podejrzenia ich znalazły więc potwierdzenie.

— Okradł mnie — powtarzał dalej baron słabym głosem — zbój... łotr... Reman.. moje pieniądze...

A dalej już bełkotał coś niezrozumiale i zapadł w nowy sen.

Kiedy przybył w pięć godzin później zawezwany z najbliższego miasta lekarz, uspokoił się hrabia jeszcze bardziej, ponieważ doktór zapewnił, iż rany Goldenthala nie są niebezpieczne i życiu jego bezwarunkowo nie zagraża niebezpieczeństwo.

To też Rożniewski przestawszy martwić się tą sprawą, zaprzątnął myśli swoje pytaniem, które uporczywie narzucało mu się od pierwszej chwili — dlaczego, po co i jakim sposobem dostał się baron Goldenthal do owego tajemniczego podziemia.

Była to jednak zagadka nie do rozwiązania.

Lekarz pozwolił wkrótce przenieść barona z leśniczówki do pałacu, gdzie umieszczono go w jego pokoju.

Tu chory rychło odzyskał w zupełności przytomność, ale trudno było dowiedzieć się od niego czegoś więcej nadto, że Reman go obrabował.

Na wszelkie pytania dawał z łóżka tak niejasne odpowiedzi i tak się wikłał w nich ciągle, że lekarz prosił hrabiego, by nadal pozostawić chorego w spokoju i nie męczyć go pytaniami.

— W każdym razie trzeba będzie dać znać policyi i kazać ścigać Remana — odezwał się na to Rożniewski.

Lecz baron usłyszawszy jego słowa, aż się rzucił na posłaniu niecierpliwie i siląc się na mówienie, używał wszelkich sposobów, by powstrzymać hrabiego od wzywania w tej sprawie policyi lub robienia doniesień do władz. (C. d. n.)

Pogrom w Wołogdzie.

Jeden z naszych przyjaciół, rodak nasz będący inżynierem w Wołogdzie, przysłał nam wraz z fotografią list następujący:

Dzień 1 maja st. st. zapisany został krwawemi zgłoskami w kronikach miasta Wołogdy. Czarna secina, spojona i kierowana jak zwykle i wszędzie przez wiadomych ludzi i wiadomym sposobem, rozwinęła w dniu tym w całej pełni swą działalność. Zdawało się, że Wołogda, która, dzięki zorganizowanej z obywateli miasta milicyi, jedna w rzędzie bardzo niewielu miast rosyjskich, nie splamiła się pogromami listopadowemi, zabezpieczona jest i teraz w zupełności od nich; tymczasem stało się tu coś podobnego, co w Tomsku i Twerze tylko w mniejszym stopniu. W krótkości opiszę wypadki krwawe, jako naoczny świadek.



Pogrom w Wołogdzie: Przysłana nam przez jednego z rodaków z Wołogdy fotografia, dziś już w gruzach leżącego Domu Ludowego im. Puszkina, w którym działy się najstraszniejsze sceny w czasie ostatniego pogromu, urządzonego przez czarne seciny w tem mieście.

Od godz. 10 rano zawieszono pracę w warsztatach kolejowych, w prywatnych zakładach mechanicznych i pozamykano wszystkie sklepy. Pracownicy zebrali się na wiece częściowo w Domu Ludowym imienia Puszkina, częściowo w parku za miastem. Wkrótce jednak wiecownicy z Domu Ludowego udali się też za miasto w celu przyłączenia się do zebranych tam towarzyszów. Około godziny 11-ej na grupy robotników i uczącej się młodzieży, udającej się za miasto napadła zgraja zbirów z kijami, kamieniami i rewolwerami. Padły strzały, które na szczęście nikogo nie raniły, które jednak posłużyły za hasło do rozpoczęcia akcyi przez „czarną secinę“. Tłum, składający się z zezwierzęciałych ludzi, odpadków i wyrzutków społeczeństwa i przybyłego ze wsi okolicznych spojonego chłopstwa, rzucił się przez rynek w kierunku Domu Ludowego, niszcząc i rabując i zabijając spotykane po drodze osoby. Pobito i niebezpiecznie raniono też kilka kobiet i kilkoro dzieci. Dopadłszy do Domu Ludowego, tłum wyłamał drzwi i okna, wtargnął tam i rozpoczął poszukiwania „buntowników“, którem to mianem „czarna secina“ nazywa wszystkie inteligentniejsze jednostki społeczeństwa.



Torturowanie więźniów: Osławiony Grün, urzędnik wydziału policyi śledczej w Warszawie, bohater głośnej sprawy znęcania się nad więźniami, którą świeżo poruszył w Dumie poseł Lednicki. (Do artykułu na str. 12).

W Domu Ludowym, (dajemy tu właśnie jego podobiznę), na szczęście nikogo wtedy nie było, gdyż, jak wspomniano wyżej, uczestnicy zapowiedzianego tam wiecu udali się na wspólny wiec za



Policya śledcza w Warszawie: Grupa urzędników i agentów policyi śledczej w Warszawie; między nimi jest sześciu agentów, których w najświeższych czasach zabito (Polakow, Brzozowski Nowacki, Handwerg), lub ciężko poraniono (Myc, Doroszkin); obok naczelnika siedzi w I. rzędzie osławiony urzędnik wydziału śledczego Grün.

miasto. Nie znalazłszy nikogo na głównej sali, rozwścieczony tłum rzucił się na strych i do piwnic, myśląc, że są tam pochowani studenci. Tu rozpoczął się najkrwawszy dramat; tu „czarna se-



Ostatni akt skandalu: Kornet huzarów grodzieńskich, Możarowski, który pojedynkował się przed tygodniem pod Warszawą z ordynatem Zamoyskim.

cina“ sama wymierzyła sobie dostateczną karę za dokonywane bezeceństwa. Poszukiwacze w ciemnościach przyjęli swoich za nieprzyjaciół i rozpoczęła się tam zacięta walka na kije i noże. Część, chroniąc się przed razami, wybiegła na dwór, lecz i tutaj w zamęcie była niepoznana i na miejscu zabita i poszarpana przez swoich towarzyszów. Następnie tłum rzucił się do niszczenia wszystkiego w Domu Ludowym. Połamano stoły, krzesła i zniszczono wszystkie utensylia teatralne; zniszczono bardzo ładną bibliotekę, potłuczono szafy, porozrywano książki, w następstwie poznoszono na sterty palne materyały i w kilku miejscach podpalono Dom Ludowy. W przeciągu pół godziny cały gmach stanął w płomieniach. Straż ogniowa nie była dopuszczona do ratowania. Poprzerzynano węże, popsuto sikawki, poprzewracano beczki z wodą i tłum, upojony tryumfem, krwiożerczym wzrokiem śledził za postępem pożaru. Policya, dość nieliczna w Wołogdzie, nie była w stanie rozpędzić łotrów i położyć tamę rozbestwieniu. Gubernator i policmajster, którzy się zjawili i zwrócili się do tłumu z perswazyą, zostali obrzuceni gradem kamieni i ranieni. Po spaleniu Domu Ludowego „czarna secina“ rozdzieliła się na trzy partye: jedna napadła na dom prywatny p. Sibrina, rozbiła wszystkie sprzęty i zrabowała kosztowności, druga zniszczyła redakcyę dziennika „Siewiernaja Ziemla“, trzecia udała się do domu „głowy miasta“ w celu spalenia jego domu. Tutaj tłum powitany został salwą milicyi, która dopiero teraz zdążyła się sformować i nadbiedz. Po pierwszej salwie milicyi, która dana była dla postrachu, „czarna secina“ wraz ze strażnikami w jednej chwili rozpierzchła się na wszystkie strony. Popłoch był taki, że strażnicy z okrzykami „rewolucyoniści“ ze strachu porzucali na ziemię karabiny, „czarnosocieńcy“ powskakiwali do rzeki. Na miejscu tuż zatrzymano kilku uczestników pogromów, których oddano władzom. Między innymi aresztowany jest i strażnik za rozmyślne zabicie uczenicy tutejszego gimnazyum. Liczba ofiar dnia tego nie jest dokładnie wyjaśniona, w każdym razie w przybliżeniu zabitych i rannych było około 50 osób.

Policya śledcza w Warszawie.

Od czasu pierwszych wybuchów rewolucyi po dziś dzień czytamy ciągle w dziennikach wiadomości o systematycznych zamachach na przedstawicieli policyi śledczej w Warszawie.

Podajemy w numerze dzisiejszym Czytelnikom naszym fotografię grupy urzędników i agentów



Ostatni akt skandalu: Ordynat Maurycy hrabia Zamoyski, poseł ziemi Lubelskiej, który przed tygodniem pojedynkował się pod Warszawą z kornetem huzarów Możarowskim.

warszawskiej policyi śledczej, wśród których znajdują się właśnie niektórzy, stanowiący przedmiot zamachów ze strony partyi bojowej.

Widzimy tam zatem agenta cyrkułu Wolskiego Mikołaja Polakowa, zabitego w zeszłym tygodniu; dalej Stanisława Brzozowskiego, agenta cyr-



Fotografował umyślnie dla „Nowości Illustrowynych“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Lajkonik: Tradycyjny obchód konika Zwierzynieckiego w Krakowie; Lajkonik przed klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu, gdy ma wyruszyć w drogę do Rynku krakowskiego.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Jarmark krajowy we Lwowie: Jedna z sal wystawowych w pawilonie głównym.

Lajkonik.

W rzędzie tradycyjnych uroczystości, które Kraków święci rokrocznie, konik zwierzyniecki, popularnie zwany „lajkonikiem“, zajmuje bodaj czy nie pierwsze miejsce. W oktawę Bożego Ciała, po procesyi naokoło Rynku, zjawia się zawsze lajkonik w ulicy Brackiej i wśród charców przechodzi na Rynek, zapełniony szczelnie publicznością, rekrutującą się ze wszystkich sfer. Są tam andrusy krakowscy i zwierzynieccy, służące, wyrobnicy, urzędnicy i akademicy, młodzi i starzy, dzieci i dorośli. Wszystko to pcha się i ciśnie na lajkonika, który zanadto następujących mu na pięty obdarza razami, wymierzonemi nie tyle silnie, ile z rozmachem gumową pałką i wśród śmiechów i chichotu posuwa się naokoło Rynku aż ku restauracyi Hawełki, gdzie późnym wieczorem kończy swą wędrówkę. Dla Krakowian oktawa Bożego Ciała, a raczej pojawienie się lajkonika po procesyi, jest świętem, uświęconem tradycyą i za grzech poczytywanoby każdemu, ktoby nie wziął udziału w tym pamiątkowym obchodzie.

Bo i lajkonik ma swoje źródło historyczne.

W roku 1281, kiedy na tronie polskim zasiadał Leszek Czarny, zjawili się w Europie Tatarzy. Szli kilkoma zagonami, łupiąc i niszcząc wszystko, co napotkali, zostawiając za sobą jeno trupy i spopielałe zgliszcza. Dzicz ta, nie napotykając nigdzie bardziej stanowczego oporu, posuwała się coraz dalej, aż doszła pod Kraków. Strach padł na miasto. Mieszkańcy stracili nadzieję obrony. Wtedy jeden z włóczków, trudniących się spławem na Wiśle, namówił króla, aby podczas procesyi w oktawę Bożego Ciała, prowadzonej naokoło murów, otaczających Kraków, napadł na Tatarów, zbliżających się od strony Zwierzyńca. Usłuchał Leszek Czarny. I kiedy procesya z chorągwiami i feretronami ukazała się na murach, kiedy do śpiewu pobożnych przyłączyły się jęki dzwonów w świątyniach krakowskich, Tatarzy przestraszyli się i zaczęli zmykać. Puścił się w pogoń za nimi Leszek Czarny, dopędził i zniósł cały ich obóz. Na pamiątkę tego zwycięstwa, rokrocznie, w oktawę Bożego Ciała, wjeżdża do miasta tryumfalnie, otoczony świtą w polskich strojach Tatarzyn, niosąc korpus drewnianego konia, okrytego tureckim rzędem — lajkonik.

Przywilej „lajkonikowy“ od wieków jest własnością rodziny Micińskich na Zwierzyńcu. Dzisiejszy przedstawiciel tej rodziny, p. Kazimierz Miciński, znany zaszczytnie w Krakowie ogrodnik i właściciel dwu sklepów z kwiatami, dokłada wszelkich starań, aby lajkonik który jest jego własnością, prezentował się jaknajlepiej. Jak zaś lajkonik wygląda — widzą czytelnicy najlepiej na załączonej obok fotografii, zdjętej na dziedzińcu klasztoru PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, skąd lajkonik zawsze wyrusza do Krakowa.

kułu Towarowego, również w bieżącym tygodniu zabitego; agenta Józefa Myca, ciężko w maju zranionego; agenta Ludwika Nowackiego, zwanego „Koci Łeb“, którego zabito na ulicy Świętokrzyskiej; Mikołaja Dorożkina, agenta, na którego był niezbyt dawno zamach, a który jeszcze leży w szpitalu ranny; wreszcie starszego agenta Bazylego Handwerga, którego zabito na ulicy Burakowskiej.

Wreszcie jest tam i Grün, urzędnik wydziału śledczego, osławiony głośną sprawą tortur w więzieniach; siedzi on tuż przy naczelniku w I. rzędzie, we fraku i białym krawacie.

Ostatni akt skandalu.

Przed tygodniem na polach Królikarni pod Warszawą odegrał się ostatni akt skandalu wielkoświatowego, o którym mówi od kilku tygodni nietylko Warszawa, ale który budzi niesłychaną sensacyę w sferach arystokratycznych całej Polski, a nawet Europy. Skandal bowiem ma podkład szantażu na tle erotycznem. Bohaterami zaś jego są ordynat Maurycy Zamoyski, poseł do Dumy państwowej z ziemi Lubelskiej, oraz kornet huzarów grodzieńskich Możarowski. Obaj ci panowie stanęli do pojedynku na pistolety, którego wynik był bezkrwawy. Oprócz damy z polskiej arystokracyi, o którą im poszło, wchodzi tu w grę jeszcze pewna znana kokota warszawska.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Jarmark krajowy we Lwowie: Jedna z sal wystawowych w pawilonie głównym.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Jarmark krajowy we Lwowie: Jedna z sal wystawowych w pawilonie głównym.

Jarmark krajowy.

W chwili, kiedy całe społeczeństwo z niespokojnem wyczekiwaniem patrzy na starania reprezentantów kraju w parlamencie wiedeńskim o autonomię, plac powystawowy we Lwowie zawrzał gorączkowem życiem jarmarku. Nie jest to przypadkowe. Jarmark ten, to jedno ogniwo w łańcuchu prac, podjętych dla wyzwolenia naszego społeczeństwa od wpływów obcych, gniotących u nas każdy objaw życia społecznego, ssących z kraju naszego wszystkie soki żywotne, prac, podjętych dla stworzenia zdrowej, silnej, samoistnej podstawy rozwoju narodu, to dalej przegląd sił naszych, to rachunek sumienia z pracy kilkuletniej.

Tak pojęli jarmark jego inicyatorowie i jeżeli się weźmie pod uwagę trudności olbrzymie, jakie mieli do pokonania, to przyznać trzeba, że z zadania, jakiego się podjęli, wywiązali się dobrze. W zapadłej prowincyi wyszukano nowe gałęzie naszej wytwórczości, pozyskano współudział nie tylko starych, renomowanych firm, ale najdrobniejszych nawet rękodzielników, z podmiejskich warsztatów, z wiejskich chat ściągnięto wyroby przemysłu domowego — dano możliwie dokładny obraz naszej wytwórczości.

Zrozumiał komitet, czego dał dowód już, wybierając formę jarmarku, a nie formę wystawy — że w naszem ubogiem społeczeństwie jarmark musi spełnić jeszcze i drugi cel, powinien zareklamować jak najszerzej wyroby krajowe, stworzyć dla nich jak najszersze pole zbytu, i dać ich wytwórcom zarazem jak największy zarobek właśnie tu. Ściągnąć więc trzeba było na ten plac jarmarku jak najwięcej publiczności. Stworzono zatem olbrzymi park zabaw, elektrycznością oświetlono plac, zawieszono tysiące lampionów, zaangażowano kilka orkiestr, chóry, stworzono z placu jarmarku miejsce, na które przez cały czas trwania jarmarku płynąć będą codziennie tłumy publiczności; a w dziesiątki tysięcy idące tłumy, jakie w pierwszych dniach przez jarmark przepłynęły, olbrzymi ruch handlowy na jarmarku świadczą, że dobrze liczono się z psychologią publiczności. Dano publiczności rozrywkę, a jarmarkowi publiczność.

Reprezentowanych jest ogółem na jarmarku z górą 500 przemysłowców, znaczna część z prowincyi.

Główny dział mieści się w pałacu sztuki; 16 sal, westybul wypełnione wyrobami, wyłącznie tylko krajowemi, ugrupowanemi tak gustownie, że robiłyby wrażenie wystawy, gdyby nie olbrzymi ruch kupujących.

Nie będziemy według katalogu wyliczali wystawców z 16 sal, bo zajęłoby to nam zbyt wiele miejsca.

Jest tu wszystko, co tylko kraj nasz wytwarza: są wyroby metalowe, jest tkactwo i sukiennictwo, jest przemysł drzewny, majolika, przetwory chemiczne, papiernictwo, koszykarstwo, wyroby spożywcze. Najokazalej przedstawiają się trzy główne sale pawilonu. W jednej z nich zwraca przedewszystkiem uwagę oddział z wyrobami fabryki chemicznej „Tlen“. Wyroby tej fabryki chemiczno-farmaceutyczne, mydlarskie i atramenty, zyskują sobie coraz większy zbyt i rugują towar obcy z coraz większem powodzeniem. Oddział „Tlenu“ na jarmarku, dekorowany prześlicznie i z wielkim smakiem wedle pomysłu artysty-malarza St. Dębickiego, zawiera twory wszystkich działów tej fabryki. W sali drugiej na pierwszy plan wysuwają się wyroby pracowni ślusarskiej pana Stankiewicza; są tam najrozmaitszej wielkości i jakości wagi zwyczajne, decymalne, pomostowe i td. Sala trzecia oddaną została miejskiej nieustającej wystawie przemysłu krajowego.

Reszta wystawców mieści się w osobnych pawilonach, które długim szeregiem ustawiły się w głównej alei, jedne bogate, inne zupełnie bezpretensyonalne, w straganach, ustawionych przez komitet, które wraz z parkiem zabaw nadają jarmarkowi prawdziwie jarmarczną cechę.

Z lewej strony alei stanęły pawilony Zakładu budowy młynów, fabryki tutek cygaretowych „Świt“ prześliczny pawilonik fabryki stor i żaluzyj Adamskiego, dalej obszerny, gustowny pawilon firmy „Kazimierz Lewicki“, w którym w oczach publiczności malarze zawodowi wykonują malowidła na porcelanie, pawilon parowej fabryki czekolady, cukrów deserowych, herbatników i przetworów owocowych dr Ruckera i Sp., dalej H Lewickiej i Sp. „Zorza“ przed miesiącem otwarta fabryka wytworów chemicznych, jak czernidła zwyczajne, pasta do butów, lakier do białego obuwia, pomadki do czyszczenia metali, dalej kupiec ludowy Antoni Bulik z Zamarstynowa wystawił „Zbiór wyrobów domowych“, serdaki, kilimy, chustki, fartuszki i td.

Kramy zajęły „Bazar krajowy“ z resztkami wysortowanych towarów, krajowy warsztat naukowy dla wyrobu zabawek w Jaworowie, Jan Łoziński z Zamarstynowa z wyrobami stolarskimi i inni najdrobniejsi rękodzielnicy, których zastępuje również „Lwowska Pomoc Przemysłowa“ w 5 straganach, w których zakupić można i naczynia kuchenne i ramki ozdobne, kosze i zabawki dziecinne, inkrustowane stoliki i tp. Znaczna część tych wyrobów, to wyroby ludności podmiejskiej Lwowa.

Za szeregiem pawilonów rozsiadł się park zabaw, na którym ogólną uwagę zwraca olbrzymi karuzel, wykonany w pracowni p. Stankiewicza, zdaje się, pierwszy wykonany w kraju w całości, gdyż konie i tp. wykonano w szkole jaworowskiej.

Pomiędzy jarmarkiem a parkiem zabaw stanął wspaniały pawilon okocimski w stylu zakopiańskim.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.

Jarmark krajowy we Lwowie: Aleja główna z pawilonami na placu wystawowym na wzgórzu Stryjskiem w czasie obecnego wielkiego jarmarku wyrobów krajowych.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie

Jarmark krajowy we Lwowie: Park zabaw z olbrzymim karuzelem na placu jarmarku.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

15 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Żmija bagnista — zawołał Stein — indyjska żmija, najbardziej jadowita ze wszystkich indyjskich wężów. W dziesięć sekund po jej ukąszeniu człowiek musi umrzeć.

Tu się sprawdziła klątwa złego czynu. Zbrodniczemu zamachowi, który profesor planował, uległ on sam

Z wszelkiemi ostrożnościami, jakich nauczył się, widząc obchodzenie się z wężami w cyrkach i menażeryach, Stein podszedł do żmii i po chwili zdołał ją skłonić do wejścia do żelaznej kasy, w której ją zaraz zamknął Dokonawszy tego odetchął dopiero swobodniej i zaczął mówić:

— Przekonuję się, że wpadłem na właściwy ślad. Gdybyśmy tu dzisiaj nie byli przyszli hrabina Erna już by była nie żyła! Chociaż mało brakowało, że nie wszedłem na niewłaściwą drogę. Wiedziałem z opowiadania hrabiny, że niebezpieczeństwo nie mogło jej grozić ani od strony okna, ani też od strony drzwi, zwróciłem więc odrazu cały uwagę na wentylator. Ten gwizd i syczenie, o jakim wspominała hrabina, naprowadził mnie odrazu na myśl, że główną rolę gra tutaj wąż, a. jak widzisz, nie pomyliłem się. Ponieważ zaś wiedziałem, że profesor zajmuje się rzeczami egzotycznemi, mogłem był tak przypuszczać. Jemu musiało zależeć na tem, aby działanie trucizny było jak najszybsze, a nie pozostawiało żadnych śladów. Bo też trudno spostrzedz tę małą rankę, jaką pozostawia ukąszenie przez tak jadowitą żmiję. Dźwięk metalowy, jaki hrabina słyszała, pochodził zapewne z odmykania żelaznej kasy, w której profesor przechowywał żmiję. Co robiłem, aby sprawdzić moje podejrzenia, o tem wiesz. Jak tylko usłyszałem syk węża, zapaliłem zapałkę i uderzyłem szpicrutą węża; skutek był taki, że wąż cofnął się zaraz i znikł poza otworem. Ale uderzenie było silne, więc żmija rozzłościła się i z całą wściekłością rzuciła się na swego pana. A tu masz dowody.

Stein zbliżył latarkę do czoła profesora i wskazał koledze palcem tuż przy włosach dwie małe, jakby od ukłucia szpilką pochodzące ranki.

— Tutaj go żmija ukąsiła — rzekł — ale chodźmy już, opuśćmy to siedlisko zbrodni!

Wyszli i zamknęli pokój za sobą.

— Musimy teraz uwiadomić o wszystkiem hrabinę. Biedaczka i tak się musi srodze niepokoić. Tylko — jednego jeszcze nie mogę zrozumieć. Profesor chciał zamordować hrabinę Ernę. W jakim celu? To stanowi dla mnie zagadkę, której na razie rozwiązać nie mogę. Ale, traćmy nadziei; wierzaj mi, Paulsenie, że jakoś i to zrozumiemy.

Szli długim kurytarzem, rozmawiając po cichu, kiedy Stein nagle stanął, zgasił latarkę i cofnął w głąb niszy, tuż obok się znajdującej.

— Któż to być może? — szepnął Paulsen.

W tej chwili na kurytarzu dały się słyszeć kroki. Po chwili usłyszeli, jak ktoś pukał do drzwi, potem jakiś szmer, jakby drzwi otwierano, a wreszcie wszystko ucichło. Głuszę nocną przerwał dopiero straszliwy krzyk, jaki się ozwał w kurytarzu. Stein rozpalił na nowo latarkę i z rewolwerem w dłoni pobiegł z Paulsenem na miejsce, skąd ten krzyk dochodził.

Pokój, w którym stary profesor ciągle jeszcze siedział martwy na krześle, stał otworem; na środku widać było na pół zemdloną, opierającą się na stołku wysoką kobietę ze złotymi, czerwonymi włosami, obok której stał zmieszany i blady hrabia Pardua.

Kiedy zobaczył detektywów, po twarzy jego przebiegł skurcz wściekłości i hamowanego przemocą gniewu, a Steinowi zdawało się, że słyszał, jak hrabia zgrzytnął zębami. Ale w tej chwili Pardua się opanował.

— Na miłość Boską! — szepnął drżącym głosem — co to ma znaczyć?

Stein zmierzył go bystrym wzrokiem i odparł zimno:

— Gość pański, panie hrabio, jest — mordercą! Ma on na sumieniu śmierć mlecznej siostry pani hrabiny, a dzisiaj chciał zamordować pańską żonę!

Nie uszedł jego uwagi najmniejszy ruch hrabiego; widział, że Pardua z największą przyjemnością skłąbły go należycie i rzucił się na niego. Ale hrabia był zanadto rutynowanym zbrodniarzem.

Chwycił się więc za czoło, zroszone zimnym potem i zawołał:

— Ale powiedzże mi pan, na miłość Boską, co profesora do tego skłoniło? Uważałem go przecie za najlepszego przyjaciela naszego domu!

— Czy nie zechciałby pan — rzekł Stein zamiast odpowiedzi — wyjść z tego pokoju? Chciałbym pana prosić o chwilkę rozmowy w cztery oczy.

Hrabia skinął głową, podając rękę Ilonie — którą przedstawił jako hrabinę Pardua i odprowadził ją do jej buduaru, gdzie jak nieprzytomna opadła na dywan.

— Jestem do rozporządzenia — rzekł teraz hrabia, a Ilona widziała. jak jej kochanek znikł razem z ajentami w przyległym pokoju.

Ale zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, wstała i wybiegła z pokoju, jak kot. skradając się do sypialni starego profesora Zerwała zeń siwą perukę i brodę, a chwyciwszy go za lodowate dłonie, upadła mu do nóg i zaczęła łkać.

— Co ja zrobiłam!? — wołała — brat mój nie żyje, przezemnie, mój jedyny brat!

I prawie tarzała się z bólu. A nie był to ból zmyślony lub udany, owszem, po raz pierwszy uczuła rzeczywiście ból prawdziwy. Jednak natychmiast jej egoistyczna, samolubna natura wzięła górę.

— Gdyby go tutaj kto znalazł i dowiedział się, że zmarły był moim bratem, że to był klown Barrison z cyrku, wszystko byłoby stracone. Muszę go stąd natychmiast usunąć; te psy policyjne nie powinny go tutaj znaleźć. Ale gdzież ja go ukryję? Przeniosę go do drugiego pokoju i schowam pod łóżkiem, a gdy się w zamku wszystko uspokoi, pogrzebię go w ogrodzie.

Brodę i perukę rzuciła do pieca i chciała ściągnąć zwłoki ze stołka. Z trudem jej się to tylko udało, bo klown był krępy i grubokościsty, a więc ciężki, tem cięższy, że zmartwiały już zupełnie. Zaciągła go jednakże aż ku drzwiom — wtem stało się coś niespodziewonego.

Drzwi się nagle otworzyły, a w nich ukazała się jakaś ciemna postać. Ilona krzykła i przerażona upuściła trupa na ziemię.

ROZDZIAŁ XXVI.

Podpalaczka.

Stara Wildingowa siedziała pewnego dnia przy oknie i widocznie bardzo była zajęta swemi myślami, bo od godziny może nie ruszyła się nawet. Naraz przyszła jej do głowy dziwna myśl. Postanowiła zajść jeszcze do piwnicy i przekonać się, czy jej ofiarę rzeczywiście woda uniosła do kanału, czy też jeszcze się znajduje w piwnicy. Powoli schodziła po schodach na dół. Jeszcze w połowie drogi stanęła, jakby się chciała wrócić, widocznie przekonana, że trup prawdopodobnie od dawna już jest w kanale. Jednak po namyśle poszła dalej.

— Lepiej się upewnić! — szepnęła.

Doszła do miejsca, gdzie wisiał klucz, zapaliła zapałkę, chcąc go zdjąć, ale światło jej zgasło w drżącej ręce — przekonała się, że klucza na tem miejscu nie było.

Pobiegła ku pułapce, w którą strąciła Steina i o mało nie padła przerażona. Przykrywa otworu była wysoko podniesiona.

— Uciekł! Uciekł! — syknęła przez zaciśnięte zęby. Zaświeciła raz jeszcze, ale nikogo nie ujrzała.

— Ha! — wrzasła — sam on nie uciekł! Musiał temu psu ktoś pomódz!

Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że wszystko już dla niej stracone, kiedy Stein znajdował się na wolności. Szalona trwoga opanowała tę starą wiedźmę; zdawało jej się, że widzi już w drzwiach kata, który po nią rękę wyciąga. Wytężyła słuch, czy rzeczywiście kto nie nadchodzi, ale słysząc, że cisza wokół panuje śmiertelna, podniosła się i wyszła do siebie na górę. Tam zarzuciła szybko na głowę ciepłą chustkę, zawdziała gruby płaszcz i wyszła z domu, zamykając bramę za sobą.

Nie wiedziała sama, dokąd idzie. Najchętniej poszłaby była do swego syna, ale nie wiedziała, gdzie mieszka. Zaczęła więc chodzić bez celu po ulicach, przekonana, że przecież musi gdzieś spotkać Roberta, ale nie widziała nikogo, ktoby był do niego podobnym. Już się ściemniło, kiedy naraz przytuliła się aż do muru pewnej kamienicy, i z zapartym oddechem patrzyła na dwóch mężczyzn, obok przechodzących, a zajętych ważną jakąś rozmową. Nie zauważyli jej, tak się byli zagadali i przeszli dalej Stara wiedźma odetchnęła.

— A więc nie myliłam się, to był ten szpicel — Stein! — mruknęła.

Twarz jej wykrzywiła się jadowitym uśmiechem, zwiędłe, przygasłe oczy zajaśniały na chwilę straszliwym ogniem nienawiści. Poszła za detektywem.

Przeszli już kilka ulic, nareszcie doszli do wspaniałej dzielnicy, w której stara już od dawna nie była. Tam Stein się zatrzymał przed jednym z domów. Wildingowa dom ten poznała. Mieszkał w nim doktór Stürmer.

— Czego ten szpicel chce od doktora Stürmera? — mruknęła stara. — Może chce się wylizać u niego z ran, jakie odniósł, wpadając do pułapki?

Pod pozorem, że chce iść do lekarza, wsunęła się do sieni i poszła na piętro; zaczęła podsłuchiwać przy drzwiach Stürmera. Ponieważ jednak nic nie słyszała, zeszła znowu na dół, czekając cierpliwie na wyjście Steina. Tymczasem noc zapadała coraz głębsza; wyszła na ulicę i zobaczyła, że w tej chwili zagasło w mieszkaniu doktora ostatnie światło.

— Może przenocuje u niego! — syknęła.

Stanęła jeszcze, czekając chwilę, wreszcie szybkim krokiem puściła się w głąb ulicy, a oczy je, błyszczały szatańskim ogniem. Szła do strasznego młyna, ale nie została w nim; weszła tylko do sieni, zabrała jakiś przedmiot, ukryła go w fałdach swego antycznego płaszcza i znowu wróciła do domu Stürmera. Brama była już zamknięta, powiedziała jednak stróżowi, że musi iść do lekarza więc starowina, przyzwyczajony do tego, że doktór nieraz w nocy musiał wyjeżdżać, puścił ją, nie podejrzywając niczego.

Cicho, bez szelestu, jak kot dostała się na pierwsze piętro i stanęła przed mieszkaniem Stürmera. Wyjęła z kieszeni płaszcza jakiś przedmiot, i w tejże chwili dała się na schodach uczuć odrażająca woń nafty.

Cóż zamierzała zrobić ta szatanica? W prawej ręce miała wielką blaszankę, z której lała na schody naftę; szczególnie troskliwie oblała miejsce przed drzwiami i same drzwi Stürmera. Potem zapaliła kawałek papieru, umoczony w nafcie i rzuciła go na ziemię, tak obliczając, że zanim płomień dostanie się do miejsc, zalanych naftą, ona już będzie na dole. Jeszcze schodząc po schodach na dół, polała naftą każdy stopień.

W tej samej chwili, kiedy zaspany stróż wypuścił ją i zamykał bramę, rozległ się na górze przeraźliwy huk. Stara wiedźma, biegnąc pędem do domu, śmiała się aż z radości szatańskim śmiechem, do chichotu piekielnego podobnym.

Tymczasem na górze ukazał się tuż przed drzwiami Stürmera błękitny płomyk, podobny do ognistego węża. Płomyk ten wzbijał się coraz bardziej w górę, i niby błędny ognik skakał po schodach na dół, aż zabłysnął jedną wielką, wspaniałą, błękitnosiną wstęgą.

Nie przeczuwając niczego, mieszkańcy domu spali spokojnie; na polu huczał wicher, rozbijając się o kominy i szczyty wieżyczek. Noc była straszna. Niebo zasłane było czarną oponą ciężkich chmur. Wybiła właśnie pierwsza po północy, kiedy na pierwszem piętrze nagle otwarło się okno, a po pustej ulicy rozległ się straszliwy bólem i rozpaczą krzyk: Pali się! Na drugiem piętrze ukazała się w oknie jakaś kobieta w bieliźnie, z rozwianym włosem, wołając o pomoc. Płomienie rosły z szaloną szybkością i wdzierały się do mieszkań.

Detektyw Stein był pierwszym, który, zaniepokojony wonią nafty, chciał zbadać przyczynę i źródło, skąd ten zapach pochodzi. W pokoju było tak gorąco, że skoczył z łóżka i rzucił się ku drzwiom, ale w tej chwili cofnął się wstecz, bo uderzył go olbrzymi słup ognia, który buchnął przez drzwi, czepił się portyer i zaczął się ślizgać po ścianach, obejmując cały pokój. Stein podbiegł do okna. Wychylił się i spostrzegł, że doktór Stürmer i jego matka stali, również w oknie; ze wszystkich stron rozlegał się dziki, zrozpaczony krzyk: Ratunku! Pomocy! Pali się!

A tymczasem wicher, dostawszy się przez okna do mieszkań, podsycał jeszcze płomienie, które rosły, potężniały, niosąc za sobą śmierć i zniszczenie.

ROZDZIAŁ XXVII.

Okropny handel.

Koło północy przesunęło się obok domu grabarza na cmentarzu dwóch ludzi. Obaj przedzierali się jak koty i dopiero kiedy znaleźli się wśród grobów, podnieśli się i zaczęli iść śmielej.

— Mój ty Huhle — ozwał się starszy z nich — wiesz ty bodaj na pewno, że na szyi zmarłej znajdziemy jeszcze ten medalion brylantowy, o którym ci mówił Barrison?

— Prawdopodobnie znajdziemy, bo przecie nie wierzę w to, że umarła się podniosła. Jasiek prze

straszył się, znalazłszy się wśród trumien i czmychnął. Co do mnie, to zmarła może nawet zmartwychwstać, ja się jej tam nie ulęknę. Bylebym jeno miał medalion w swych ręku, to zmarła może robić, co jej się spodoba. Ja się tam nie boję babskich duchów. Miałem ja ci zrobić z Barrisonem nie bardzo bezpieczny interes na zamku Schleinitz, ale straciłem ochotę i czmychnąłem mu. Wogóle nie chcę wdawać się więcej z tym klownem, bo brak mu zręczności i sprytu. Jest odważny i silny, ale nie umie niczego zręcznie przeprowadzić.

— Skląłbym go, jak mi Bóg miły!

— Szkoda słów; jak tak dalej będzie postępował, jak dotychczas, to wcześniej czy później sam wpadnie w ręce policyi.

Towarzysz Huhlego był to człowiek około sześćdziesięcioletni, wysoki i chudy; kościstą twarz jego zdobiła bujna broda, która od dawna już nie widziała nożyczek. Na orlim, ładnym nosie miał cwikier, z poza którego błyszczało dwoje chytrych szarych oczu. Człowiek ten znany był w kołach' zbrodniarzy pod przezwiskiem „prokurator"; przezwisko to było zresztą zupełnie uzasadnione.

Należał on do jednej z najbardziej poważanych i szanowanych rodzin we Frankfurcie. Ukończywszy uniwersytet i zdawszy doktorat praw wszedł do sądownictwa, gdzie dzięki swym wybitnym zdolnościom szedł coraz bardziej w górę. Mając trzydzieści lat został prokuratorem. Kilkanaście doskonale napisanych rozpraw z dziedziny prawa zjednało mu ogólne uznanie i szacunek. Tymczasem w kilkunastu sądach dokonano kilkakrotnie włamania i pokradziono mnóstwo rzeczy tak zręcznie, że nawet śladu sprawcy nie znaleziono. Nareszcie jednak udało się policyi wpaść na trop zbrodniarza, który kradnąc, kilku ludzi, stojących mu na zawadzie, życia pozbawił. Po kilkomiesięcznem energicznem śledztwie zrobiono sensacyjne odkrycie, że złodziejem i mordercą nie mógł być nikt inny, jeno prokurator Ryszard Rehmer. Złapany na gorącym uczynku, „prokurator" nie próbował nawet się bronić. Zrobiło to w całem mieście nadzwyczajną sensacyę.

Skazano go na dziesięć lat więzienia. Ale te dziesięć lat minęły, jakby z bicza trzasł i prokurator wypłynął znowu na wolność i stał się jednym z najniebezpieczniejszych rzezimieszków; obawiano się go z jednej strony, bo sam dokonywał najcięższych rzeczy, z drugiej zaś strony i dlatego, że wspierał innych zbrodniarzy swojemi radami z zakresu prawa, które znał doskonale. Zbrodniarze znali go wszyscy i mieli dlań zawsze należyty szacunek.

On to właśnie szedł teraz razem z Huhlem po cmentarzu i stanął wreszcie przed grobowcem Stürmerów. Mieli ze sobą wszystkie możliwe przyrządy, nawet ślepą latarkę, którą Rehmer teraz zapalił.

Na wstępie uderzyła ich obrzydliwa trupia woń, ale to ich nie zraziło. Wzrok ich padł zaraz na otwartą trumnę, w której leżał trup przepięknej kobiety.

Nieszczęśliwa Małgorzata Wilding odzyskała na razie przytomność, kiedy Barrison wdarł się był do grobowca, była jednak zbyt wyczerpaną, aby się módz podnieść. Opadła więc znowu i znów zapadła w letarg.

Brylantowy medalion błyszczał na jej piersi; Huhle zaraz wyciągnął rękę ku niemu.

— No, jesteśmy gotowi, możemy odejść — rzekł. — Ja to sprzedam, a tobie dam połowę.

— Tak, a co zrobimy z trupem? — zapytał prokurator.

— Także pytanie! A niechże sobie leży spokojnie w trumnie.

— Nie rozumiesz mnie — szepnął stary włamywacz do swego towarzysza. — Ten piękny trup może nam przynieść ładny zysk!

— Cóż ty chcesz zrobić? — spytał Huhle.

— Znam jednego malarza — odparł prokurator — nazywa się Aleksander Simerenko — maluje tylko same trupy.

— Ah! — krzyknął Huhle — więc tam ją mamy zanieść? Czy to tylko pewny interes?

— Najpewniejszy! On nas zasypie złotem, bo szczęśliwy jest, gdy może dostać trupa. Żebyśmy tylko mieli jaki worek, w którymbyśmy ją mogli zabrać.

— Ja go mam — rzekł Huhle tryumfująco i wyciągnął worek z pod bluzki.

Wpakowali więc trupa do worka, położyli na nosze i wynieśli z cmentarza, idąc szybko ulicami, aż doszli do pewnego domu na oddalonem przedmieściu. Tam prokurator zadzwonił. Po chwili w oknie ukazała się męska jakaś twarz, o bujnych włosach.

— Któż tam jest? — zapytał stentorowym głosem.

— Otwórzcie, panie Simerenko, to ja! — rzekł prokurator. — Przynosimy wam coś, co wam się przydać może.

— Zaraz — odparł malarz, a siwe oczy jego zabłysły dziwnym ogniem. Po chwili Simerenko ukazał się ze świecą w ręku w drzwiach i zaczął bystro patrzeć na przybyłych, poczem zaprosił ich do wnętrza, do swego atelier.

Było to ciekawe atelier. W fantastycznym nieporządku leżały tam trupie czaszki, piszczele i kości, najrozmaitsze obrazy i obrazki, przedstawiające trupów we wszelkich możliwych pozycyach — trupy tylko, nie żyjące stworzenia, uwieczniał ten dziwny malarz swym pędzlem. Najrozmaitsze naczynia, przedziwne broni gatunki, wszystko to zwalone było w nieporządku, ale z wyszukanym artystycznym smakiem. W jednym rogu atelier stała pyszna otomanka, nakryta wspaniałym, wzorzystym perskim kobiercem.

— Trup — szepnął malarz — ach, rozczaruję się zapewne, tak samo, jak tyle razy już się rozczarowałem. Tęsknię za ideałem kobiecej piękności, ale jej zapewne nigdy nie znajdę.



— — Małgorzata Wilding powoli otworzyła oczy. Malarz wpatrzył się w nią, jakby przykuty do miejsca. Takich oczu jeszcze nigdy w życiu nie widział.

— Nie gadajcie, panie Simerenko! — odparł stary zbrodniarz i z pomocą swego młodszego kolegi wyciągnął z worka martwe zwłoki.

Przez chwilę malarz stał jak skamieniały, patrząc na piękną umarłą.

— Ile za nią chcecie? — Mówcie prędko, ile? — A potem idźcie, idźcie precz!

— Zdaje mi się, że sto talarów nie będzie za dużo?!

Zamiast odpowiedzi malarz wyciągnął sakiewkę, napełnioną złotem.

— Tam są pieniądze — a teraz precz!

Odprowadził ich do sieni i zamknął za nimi starannie drzwi. Potem szybko powrócił do atelier i stanął przed otomanką, jak zahypnotyzowany. Drżącemi rękoma zaczął ściągać z umarłej wierzchnie szaty.

— Jaka wspaniała! — zawołał — wymaluję ją jako „umarłą boginię", cały świat wprawię dziełem tem w zdumienie, sławą prześcignę najsławniejszych mistrzów Oh, jakże mnie to pcha do malowania, jakże natchnienie wzrasta! Dzisiaj jeszcze, chociaż jeszcze noc, zaczynam robotę.

Gorączkowo przyniósł skrzynkę z pastelami, rozciągnął papier na blejtramie i ustawił go na sztalugach. Przysunął sobie stołek, pokryty tkaniną i chciał zacząć.

— Oszaleję chyba, jeśli sława moja nie rozbrzmi niby grzmot po całym świecie i nie będzie brzmieć po wszystkie wieki! Muszę wszystkich mistrzów prześcignąć!

Wziął kredki do ręki.

— Zacznę. Może się uda uwięzić to przepiękne ciało na papierze.

Cisza śmiertelna panowała w atelier, cisza, przerywana jedynie skrobaniem kredki po chropowatym papierze, zresztą cisza bezgłośna, granicząca z martwotą.

Naraz malarz zerwał się z krzesła i skoczyna równe nogi. Byłby przysiągł, że w atelier słychać było jakiś głos, jakby jaką skargę bolesną.

— Na miłość Boską! Czyżby — umarła — ?

Roześmiał się głośno i ciągnął dalej, jakby chcąc odpędzić narzucające się myśli.

— Głupiec jestem! Jakże to możliwe, żeby umarła mogła wzdychać! Z tego świata, w którym ta piękna kobieta raz się znalazła, już się nigdy nie powraca, ja chyba...

Ale nagle umilkł znowu.

— Ha, cóż to jest?! Teraz — teraz — słyszałem — widzę dokładnie, jak rozchyla wargi, słyszę jej głos!

— Pomocy! — Pomocy! — Duszę się! — rozległ się dziwny głos po pracowni malarza.

Simerenko skoczył, jak oparzony i wściekłym wzrokiem wpatrzył się w swój model.

— Żyje! — krzyknął dzikim głosem. — Te łotry oszukały mnie, sprzedali mi kobietę zemdloną czy ogłuszoną — ale — ona nie powinna — nie może żyć dłużej! — choćbym ja sam miał być mordercą!

Straszliwa, przerażająca myśl malowała się w pięknej twarzy malarza. W tej chwili nikt nie byłby go poznał, tak się zmienił wyraz jego smętnego zazwyczaj, zadumanego oblicza. Jak skamieniały patrzył na piękną, bladą twarzyczkę, aż wreszcie krzyknął głucho.

Małgorzata Wilding powoli otworzyła oczy.

Malarz wpatrzył się w nią, jakby przykuty do miejsca. Takich oczu jeszcze nigdy w życiu nie widział. A Małgorzata błędnie rozglądała się naokół.

— Gdzie jestem? — pytała szeptem — ach a któż pan jesteś?! — dodała drżąc, spojrzawszy w twarz malarza, który ją, zdawało się, pożreć chciał swym wzrokiem.

W piersi malarza toczyła się tymczasem ciężka walka. Po chwili milczenia zerwał się nagle, jak pantera rzucił się ku przebudzonej z letargu, a w ręku jego błysnął sztylet.

— Ty żyjesz!? — syknął. — Ty, którą chciałem namalować, jako umarłą boginię?! Ha, ty żyć nie możesz!

Bolesny krzyk wydarł się z jej piersi, bo w tej chwili ujrzała nad sobą sztylet, ale malarz, jakby się ocknął nagle, odrzucił precz mordercze narzędzie i chwycił ją za gardło. Nieszczęśliwa wypadła mu z rąk i osunęła się znów na otomanę. Oczy jej się zamknęły, ciało zesztywniało znowu — pierś przestała oddychać.

Malarz odskoczył — wpatrzył się w nią i chwycił się za czoło.

Czyżby mu się marzyło? Nie, niestety musiało być tak, boć biedaczka leżała już bez życia, nawet w tej samej pozycyi, w jakiej ją ułożył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon znakomitego parlamentarzysty.

W ubiegłą niedzielę przyniosły depesze z Wiednia wiadomość o nagłej, zupełnie niespodziewanej śmierci dr Emila Byka, posła do Rady państwa z ziemi złoczowskiej; dr Emil Byk w dniu śmierci napisał jeszcze artykuł dla „Polnische Korrespondenz“, był następnie na posiedzeniu Izby posłów, a wróciwszy do mieszkania w hotelu, zakończył życie skutkiem ataku serca.

Bł. p. dr Byk urodził się w r. 1845 w Tarnopolu i tam ukończył szkoły średnie, poczem na uniwersytecie we Lwowie studyował prawo i uzyskał stopień doktora. Poświęciwszy się adwokaturze, zajął wśród adwokatów lwowskich od razu wybitne stanowisko, dzięki czemu też został nie dawno powołany na wiceprezydenta Izby adwokackiej.

W r. 1880 wszedł po raz pierwszy do Rady miejskiej i aż do śmierci pozostał jej członkiem, i to członkiem z powodu swych wybitnych zdolności bardzo poważnym. Przez szereg lat był generalnym referentem budżetu miejskiego. Brał również czynny udział w życiu gminy wyznaniowej izraelickiej, był przez długie lata jej wiceprezesem, a ostatnio prezesem. Jako taki też należał do najwybitniejszych i najbardziej wpływowych osób w mieście.

Najważniejszem jednak polem działalności dr Byka była Rada państwa, której członkiem był od r. 1883. Należał zawsze do Koła polskiego, któremu swą wiedzą, swem wykształceniem, jako nie pospolity finansista niejednokrotnie bardzo cenne oddał usługi. Był też zawsze gorliwym orędownikiem spraw żydowskiej ludności galicyjskiej i działał dla jej dobra bardzo wiele. Jeszcze w ostatnich tygodniach, jako członek komisyi reformy wyborczej, opracował wszystkie dane, dotyczące żydów galicyjskich jako wyborców i przyczynił się do tego, że przy opracowaniu ordynacyi wyborczej galicyjskiej uwzględniono kilka okręgów, w których mandat miał przypaść kandydatowi żydowskiemu.

Przedwczesny zgon bł. p. dr Byka jest wielką, niepowetowaną stratą nietylko dla ludności żydowskiej, ale i dla całego społeczeństwa polskiego. Ze zmarłym tym parlamentarzystą schodzi do grobu mąż niezwykle wybitnej inteligencyi, wielkiej pracowitości i wielkich bardzo zasług.

Pokój Jego popiołom.

W numerze dzisiejszym podajemy portret błp. dr Byka.



Zgon znakomitego parlamentarzysty: Bł. dr. p. Emil Byk, nagle zmarły znany poseł do Rady państwa, prezes zboru izraelickiego we Lwowie.

Tępiciele pijaństwa.

W czasie Zielonych Świąt odbył się w Tarnowie trzeci Zjazd delegatów „Eleuteryi“, Towarzystwa, zawiązanego celem zwalczania alkoholizmu, tak w Galicyi rozwiniętego. W zjeździe wzięło udział 97 delegatów z różnych stron Galicyi; liczba to znaczna, świadcząca o rozwoju tego, tak u nas potrzebnego Towarzystwa.

W niedzielę 3 b. m. po uroczystem nabożeństwie inauguracyjnem, odbyło się w sali Rady miejskiej plenarne posiedzenie delegatów, na którem załatwiono szereg spraw administracyjnych, poczem udano się po ogrodu miejskiego, gdzie delegaci zwiedzili wystawę przeciwalkoholową, urządzoną w sali Towarzystwa strzeleckiego, celem zapoznania ogółu z wynikami dotychczasowej pracy na polu idei wstrzemięźliwości. Po południu zwiedzili delegaci muzeum dyecezyalne, poczem udali się do sali teatralnej na przedstawienie, na którem artyści teatru krakowskiego odegrali znany, propagający antyalkoholizm, utwór dramatyczny Zenona Parviego p. t.: „Knajpa“.

W poniedziałek przed południem odbyło się drugie plenarne posiedzenie delegatów, po południu zaś o godzinie 3 odbył sia w sali Rady miejskiej przy udziale kilkuset osób powszechny wiec przeciwalkoholowy, któremu przewodniczyli ksiądz Biela z Krosna i dr Daszyńska-Gclińska z Krakowa.

Zjazd uchwalił wnieść petycyę do Rady szkolnej krajowej o zakupienie do wszystkich szkół tablic i obrazów, objaśniających szkodliwość alkoholu i jego zgubne skutki w organiźmie — dalej postanowił wdrożyć energiczną akcyę w staraniach o sanatorya dla alkoholików, wreszcie uchwalono poruszyć wniesiony swego czasu w Radzie państwa przez posła dra Kathreina projekt ustawy, celem ograniczenia ilości szynków w ten sposób, by na 500 głów przypadał jeden tylko szynk. Zjazd polecił nadto Zarządowi głównemu Eleuteryi wypracowanie reformy statutu Towarzystwa w tym kierunku, aby na przyszłość przyjmowano tylko dożywotnich członków do „Eleuteryi“ i aby kategoryę członków czasowych zniesiono.

Wieczorem odbyło się w lokalu „Eleuteryi“ zebranie pożegnalne, urozmaicone deklamacyą, produkcyami muzycznemi i odegraniem jednoaktówki: „Naszyjnik babuni“ przez amatorskie kółko dzieci abstynentów.

Ogółem zjazd powiódł się bardzo dobrze i wypadł imponująco. Wywrze to niewątpliwie dodatni wpływ na rozwój idei abstynenckiej.

Załączona w numerze niniejszym illustracya przedstawia fotografię grupy delegatów, którzy wzięli udział w Zjeździe.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ zakład Tadeusza Mroczkowskiego w Tarnowie.

Tępiciele pijaństwa: Trzeci zjazd delegatów „Eleuteryi“ z różnych stron Galicyi — odbyty w b. m. w Tarnowie; grupa uczestników.

Torturowanie więźniów.

W pismach warszawskich („Dzień Dobry“ z dnia 19 b. m.) znajdujemy dosłowny tekst wniesionej 15 b. m. w Dumie państwowej interpelacyi posła Lednickiego w głośnej sprawie torturowania więźniów w Warszawie. Powtarzamy ją tutaj, podając jako aktualną podobiznę bohatera smutnej sprawy:

Członek Dumy państwowej, Lednicki, otrzymał następujące wiadomości o znęcaniach się w warszawskiej policyi śledczej przy badaniu więźniów politycznych.

1) Władysław Morganti donosi: że został niemiłosiernie zbity kolbami w wydziale śledczym, że go ciągnęli za włosy, szczypali, bili po twarzy i obsypywali gradem obelg. Szczególnie okrutnie pastwił się nad nim urzędnik wydziału śledczego, Grün, który policyantom i żołnierzom wydawał rozkazy: „Bić w mordę“, „Połamać żebra!“ i sam brał czynny udział w wykonywaniu tych rozkazów. Męczonemu Morgantiemu kilkakrotnie rzucała się krew z gardła, tracił przytomność, a kiedy przychodził do siebie, stawiano go na nogi i kazano mu stać, uderzając kolbami karabinów, ile razy zginały się pod nim nogi i upadał na ziemię.

Męki te ciągnęły się 8 dni i 8 nocy; w przeciągu 4 dni Morganti cierpiał męczarnie głodu i pragnienia, nie dawano mu bowiem nic jeść i pić. Kiedy przerywano znęcanie się nad Morgantim, musiał patrzeć on na znęcanie się nad jego towarzyszami.

2) Wincenty Sieczka i Edmund Kempski, zbici w wydziale śledczym, komunikują co następuje:

„Umieraliśmy z pragnieni , a odmawiano nam wody, zmuszając do przyznania się do tego, czegośmy nie popełnili. Gwałtem zmuszano nas do picia



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ wykonane przez zakład fot. Cz. Kulewskiego.
Ofiary pogromu białostockiego: W szpitalu żydowskim na Czystem, podczas opatrunku.

wódki, wyrywano nam włosy, bito nas kijami; skakali na piersi i na brzuch, grozili wyrywaniem zębów i w końcu zmusili nas do podpisywania protokołu w stanie bezprzytomnym. Sieczka od uderzenia kijem w ucho ogłuchł i obecnie jest chorym na epilepsyę, często traci przytomność.

3) O podobnych znęcaniach się i torturach, stosowanych w warszawskim wydziale śledczym w celu wymuszenia zeznania więźniów, donosi także trzymany w więzieniu warszawskim Jan Stańczak i inne osoby, z których zeznań okazuje się, że zbitym i męczonym ofiarom gwałtu odmawiają nietylko pokarmu i napoju, ale nawet pomocy lekarskiej, której wielu tak bardzo potrzebuje.

Urzędnik wydziału śledczego Grün, pod którego kierownictwem i z którego udziałem bezpośrednim odbywały się wyżej opisane tortury, jest pociągnięty do odpowiedzialności z art. 1091, a fakta opisane, stwierdzone zostały na śledztwie. Niemniej jednak Grün nie został jeszcze usunięty od pełnienia obowiązków służbowych.

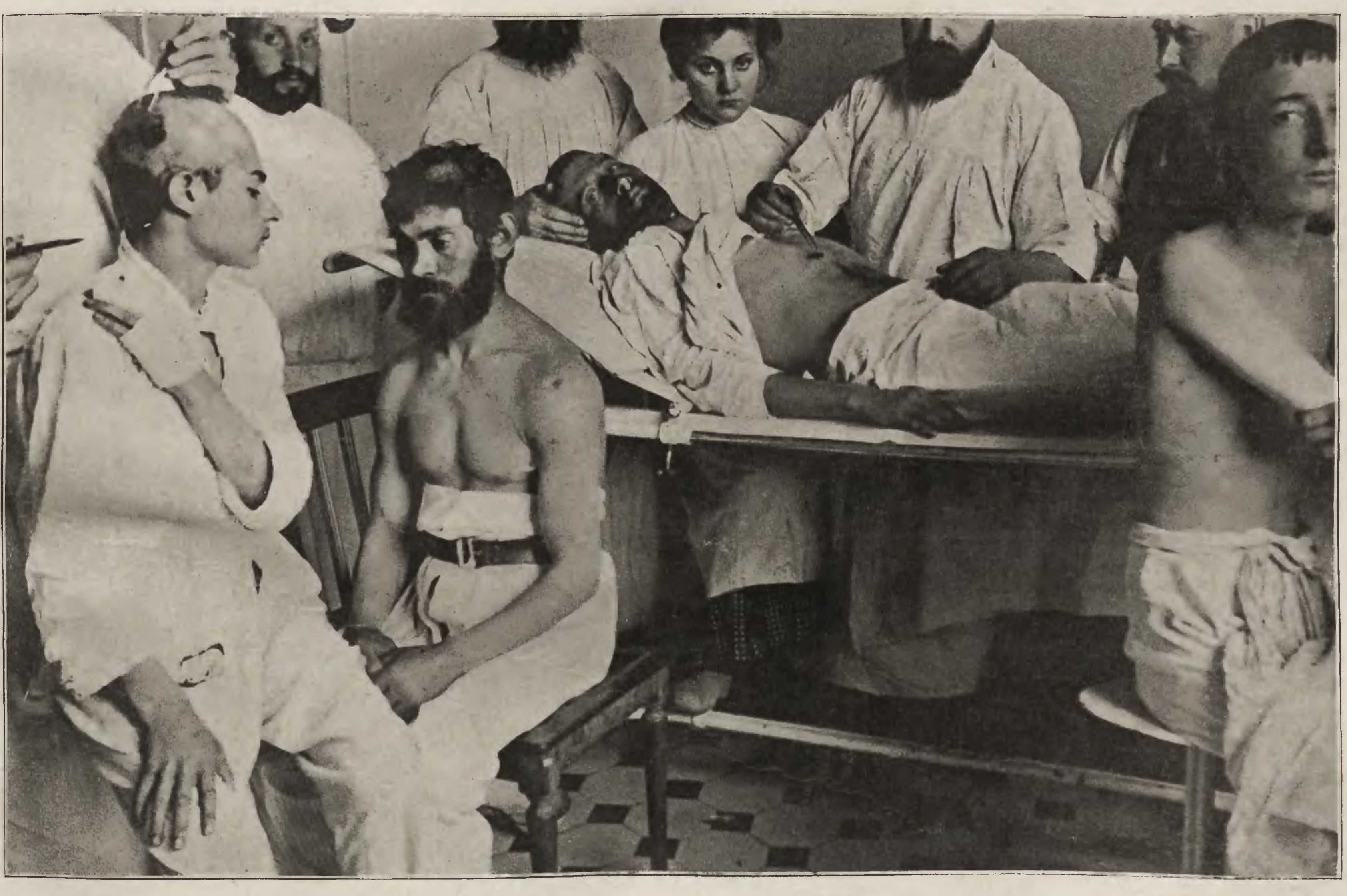


Rudolf Okręt, zmarły nagle w Warszawie, zasłużony wydawca i redaktor, założyciel „Gazety Handlowej“, zamienionej w ostatnich czasach na „Nową Gazetę“.

Biorąc pod uwagę, że tego rodzaju gwałty i znęcania się nad bezbronnymi bezwarunkowo nie mogą być tolerowane w państwie praworządnem i niczem nie mogą być usprawiedliwione, mamy zaszczyt prosić pana o wniesienie na porządek dzienny Dumy prośby naszej, aby zainterpelować ministra spraw wewnętrznych:

1) Czy wiadome mu są znęcania w warszawskim wydziale śledczym nad Morgantim, Sieczką, Kempskim i innymi więźniami?

2) Na jakiej zasadzie tolerowane są podobne nieludzkie znęcania się nad bezbronnymi i czy zastosowano jakiekolwiek środki, ażeby tego rodzaju okrucieństwa nie zachodziły na przyszłość?



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ wykonane przez zakład fot. Cz. Kulewskiego w Warszawie.
Ofiary pogromu białostockiego: W szpitalu żydowskim pod Warszawą, na Czystem, podczas opatrunku. Na pierwszym planie (od strony lewej) Abram Fajnermann (zgruchotanie czaszki i rana ręki). Dalman (niemowa, rana tłuczona głowy, kilka ran postrzałowych), Josel Szamszens (rana postrzałowa piersi), Borys Sapirstein (rana postrzałowa ręki).
Na drugim planie z tyłu lekarze: dr. Blay, dr. Sołowiejczyk, dr. Rosen, oraz felczerzy i felczerki.

3) Dlaczego nie bacząc na pociągnięcie Grüna do odpowiedzialności według art. 1091 (jeżeli rzeczywiście został pociągnięty), wymieniony Grün pełni nadal swoje obowiązki?



Ofiary pogromu białostockiego. Zdjęcie dokonane na miejscu, przed pogrzebem, przez specyalnego korespondenta „Nowości Illustrowanych“.

Rudolf Okręt.

W tych dniach w Warszawie zmarł nagle, prawie bez cierpień, Rudolf Okręt, którego długoletnia działalność publiczna zaznaczyła się użyteczną dla ogółu inicyatywą i nieustanną pracą.

Rudolf Okręt urodził się w Warszawie w roku 1829. Własną pracą i wyjątkową inteligencyą zdobył, po trudnych początkach, zaszczytne stanowisko w społeczeństwie. Za młodu poświęcił się był zawodowi kupieckiemu. Wykształcony umysł jego i żywe w sercu pragnienie postępu natchnęły go myślą rozleglejszych planów i pobudziły do zwrócenia uwagi na dział pracy publicystycznej, dotychczas zaniedbany. Pierwszy u nas wpadł na myśl szybkiego informowania zagranicy o naszem życiu społecznem i politycznem, zwłaszcza, że wypadki ówczesne, w początku 7-go lat dziesiątka zesz. wieku, pobudzały do tego ludzi, przejętych ideą pomyślnej przyszłości kraju. W tym celu wszedł w stosunki z berlińskiem biurem Wolfa i stale przesyłał mu depesze o powstaniu narodowem, które wtedy się przygotowywało i wybuchnęło wkrótce. Tę swoją obywatelską działalność przypłacił zamknięciem w X pawilonie cytadeli. Korespondencye przesyłane dla biura Wolffa, zachęciły potem R. Okręta do otworzenia własnej agentury telegraficznej, którą założył też w Warszawie, początkowo tylko dla kursów giełd zagranicznych, a później, za zachętą zmarłego Leopolda Kronenberga, rozszerzył i do informacyj politycznych. W tym zakresie Agencya Rudolfa Okręta istnieje dotychczas.

W roku 1864 powziął i wprowadził w życie śmiałą próbę wydawnictwa pierwszej na naszym gruncie „Gazety Handlowej“, która pod tym tytułem wychodziła nieprzerwanie w Warszawie przez lat czterdzieści trzy, aż do końca roku ubiegłego. Rudolf Okręt był przez długie lata wydawcą i naczelnym redaktorem „Gazety“, a do samego końca brał żywy udział w kierownictwie, choć później ster przeszedł w ręce obecnego redaktora powstałej z dawnej „Gazety Handlowej“, „Nowej Gazety“. Wiadomo, jakie znaczenie miała w stosunkach ekonomicznych zapoczątkowana przez niego „Gazeta Handlowa“; dość przytoczyć, że stała się niejako urzędowym dokumentem przy zawieraniu obrotów handlowych i zawsze wiernie służyła sprawie rozwoju gospodarczych interesów kraju. Wydawał nadto pod swoim osobistym kierunkiem różne dzieła, związane z handlem i przemysłem, a między innemi „Kalendarz Handlowy“, oraz „Encyklopedyę Handlową“ (w dwóch edycyach).

Jako człowiek, do ostatnich chwil swego sędziwego wieku zmarły Rudolf Okręt odznaczał się jasnym umysłem i wysokimi przymiotami charakteru.

Był wielce popularną i sympatyczną postacią, przez parę pokoleń znaną w sferach kupieckich i wogóle w szerokich kołach Warszawy.

To też, gdy w r 1893 „Gazeta Handlowa“ święciła 30 lecie swego istnienia, najwybitniejsi przedstawiciele naszego społeczeństwa w uroczystości, wydanej z powodu tego jubileuszu, wzięli udział. Żył i pracował cicho a stale i legł prawie na posterunku. Pamięć jego przechowa się, jako pogodne i jasne wspomnienie w sercach tych wszystkich, którzy mieli sposobność stykać się z nim w życiu, a w szczególności tych z nas, którym był niegdyś przewodnikiem, a do końca pożytecznym towarzyszem pracy. Pozostanie o nim pamięć, jako o dobrze zasłużonym obywatelu, o zacnym i użytecznym mężu.

Zamknięto „Dzień Dobry“.

Przed kilku dniami komitet do spraw prasowych w Warszawie, zawiadomił redakcyę dziennika „Dzień Dobry“, (wychodzącego w miejsce zamkniętego „Kuryera Porannego“ Feliksa Fryzego), że wydawnictwo pisma zostaje zawieszone na cały czas trwania stanu wojennego.

Redaktorem „Dzień Dobry“ był w ostatnim czasie Stefan Dunin, którego fotografię załączamy.

Jednocześnie zapieczętowano drukarnię F. Burzyńskiego przy ul. Senatorskiej, gdzie od miesiąca był „Dzień Dobry“ drukowany.

Egzotyczny gość.

Przed kilku dniami zawitał do Marsylii egzotyczny gość. Był nim król Kambodży Sisowat, który przybył do Francyi, aby nareszcie przekonać się o kulturze i potędze narodu, który powoli a systematycznie wydzierał mu władzę z rąk, aż ją wreszcie zupełnie prawie dla siebie zagarnął, nie pozostawiając mu nic więcej oprócz tytułu króla, korony i skromnych apanażów.



Zamknięto „Dzień Dobry“: Stefan Dunin, redaktor dziennika „Dzień Dobry“, który wychodził w Warszawie w miejsce „Kuryera Porannego“, a przed kilku dniami został zawieszony na czas trwania stanu wojennego.

Król Sisowat był dawniej, przed najściem Francuzów, absolutnym władzcą kraju, dwa razy możewiększego, niż Galicya; jednem słowem był to jeden z najpotężniejszych władzców azyatyckich. Królestwo Kambodża leży w Indyach Zagangesowych między Kochinchiną, Siamem a morzem Chińskiem. Kraj to jeden z najpiękniejszych i najbogatszych na ziemi. Klimat jest bardzo przyjemny, temperatura zwyczajna wynosi 26 Celsyusza. Z metali znajduje się tam złoto, ołów srebronośny, miedź i żelazo. Gleba nadzwyczaj urodzajna, nadaje się doskonale do rolnictwa, zwłaszcza do u-



Ofiary pogromu białostockiego. Zdjęcie, dokonane na miejscu, przed pogrzebem, przez specyalnego korespondenta „Nowości Illustrowanych“.

prawy ryżu, bawełny i tytoniu. Ludność, nie przenosząca półtora miliona, wyznaje buddaizm. Rdzeń ludności stanowią tak zwani Kmerzy, którzy uchodzą za założycieli królestwa Kambodży.

Kambodża była już w VI wieku po Chrystusie państwem potężnem, mającem swoją wspaniałą rodzinną kulturę. Po kilku wiekach samoistnego rozwoju dostała się pod zwierzchność Chin, którym musiała płacić haracz, ale podniosła się jeszcze i nie tylko, że zrzuciła jarzmo chińskie, ale podbiła nawet Siam, który się jednakże wkrótce z pod jej zwierzchnictwa wyłamał. Od trzynastego wieku datuje się powolny upadek tego królestwa. Siam i Annam, sąsiednie państewka, walczyły długo pomiędzy sobą o zwierzchnictwo nad Kambodżą. Od roku 1847 musiała Kambodża obu tym państwom płacić haracz.

Kiedy w drugiej połowie XIX wieku Francuzi zajęli Kochinchinę, wytężyli przedewszystkiem całą energię w tym kierunku, aby zgnieść w Kambo-



Egzotyczny gość: Król Kambodży, Sisovat, po wylądowaniu w Marsylii, udaje się w towarzystwie delegatów rządu francuskiego do hotelu, owacyjnie witany na ulicach.

dży wpływy siamskie. Dopiero kiedy w roku 1867 Siam uznał protektorat Francyi nad Kambodżą, wpływy francuskie zostały tam zabezpieczone. Od roku 1884 rządy spoczywają pod nadzorem urzędników francuskich, których naczelnik przebywa stale w stolicy Brom Pejh, podległy bezpośrednio generalnemu gubernatorowi w Tonhingu.

Jego królewska mość Sisowat, którego fotografię widzą Czytelnicy na załączonych obok rycinach, jedną w narodowym stroju koronacyjnym, drugą w chwili przybycia do Marsylii, znalazłszy się na ziemi francuskiej, uśmiechał się do witających go entuzyastycznie Francuzów. Uśmiechał się przyjaźnie, bo musiał, gdyż inaczej byliby się snać śmiali Francuzi, dla których ten egzotyczny gość, w swoim fraku, wypuszczonym niby fartuszek naprzód i spiętym agrafką, wydawał się conajmniej — godnym śmiechu. A Francuzi witali go z radością, bo przecież dzięki temu, że mu zabrali władzę z rąk, napełnili sobie dostatnio swoje kieszenie.



Ofiary pogromu białostockiego: Zdjęcie, dokonane na miejscu, przed pogrzebem, przez specyalnego korespondenta „Nowości Illustrowanych“.

Despotyzm w teatrze.

Wielką wrzawę wywołał w ubiegłym tygodniu w sferach teatralnych i poza teatrem komunikat dyrektora lwowskiego teatru p. Pawlikowskiego do artystów. Okólnik ten, pominąwszy już ton jego, przypominający ukazy takiego np. Trepowa, ma charakter nie tyle poważny, ile dziecinny. O co tam chodziło?

Nowy dyrektor teatru lwowskiego, p. Ludwik Heller, zaangażował artystów zamiast od 15 sierpnia, co w myśl kontraktu mógł był spokojnie uczynić już od 1 lipca br. Spełnił więc przez to czyn bądź co bądź prawdziwie obywatelski, bo artyści zdaniby byli na tułaczkę przez półtora miesiąca bez środków do życia, czyn godny pochwały tembardziej, że wiadomo powszechnie, iż w sezonie letnim zawsze trzeba do teatru dopłacać, że więc p. Heller nie miał tu na widoku osobistych korzyści. Rzecz jasna, że aby módz grać od 1-go lipca i to w dwóch miejscach, mianowicie w Krynicy i w Krakowie, trzeba już teraz robić próby tak z opery i operetki, jak i z dramatu. P. Heller więc odbywał te próby z zaangażowanymi przez siebie artystami i artystkami teatru miejskiego. Próby te nie przeszkadzają artystom zupełnie w pełnieniu ich obowiązków na scenie miejskiej pod dyrekcyą obecną. Dyrektor Pawlikowski jednak, zdenerwowany widocznie tem, że musi ustąpić z dyrektury, zresztą z niewiadomych i niewytłómaczonych powodów, wydał do artystów okólnik, w którym oświadcza, że „po dzień 1-go lipca bez osobnego zarządzenia jego nikomu z osób, w teatrze



Egzotyczny gość: Król Kambodży, Sisowat w stroju narodowym koronacyjnym.

miejskim płacę pobierających, w próbach, lekcyach, koncertach, poza teatrem miejskim się odbywających, udziału przyjmować nie wolno, a to pod groźbą następstw z zerwania kontraktu wynikających, oraz utraty całkowitej pensyi aż po dzień ekspiracyi dzierżawy teatru“. Zaznacza nadto, że „wszelkie pokątne działanie w tym kierunku napiętnować będzie zmuszony jako... bezczelność“.

Okólnik ten, wyjeżdżający odrazu z „bezczelnością“ wywołał nie tylko w sferach teatralnych, ale i wśród publiczności nawet nie zajmującej się



Ofiary pogromu białostockiego. Zdjęcie dokonane na miejscu, przed pogrzebem, przez specyalnego korespondenta „Nowości Illustrowanych“.

teatrem, oburzenie. Przecież był on niczem więcej, jeno krępowaniem osobistej wolności każdego artysty, bo chyba każdy z nich poza godzinami pracy w teatrze może robić, co mu się podoba. Ten ostatni występ p. Pawlikowskiego nie stoi już absolutnie na wyżynie tej, na jakiej pewni ludzie p. Pawlikowskiego postawili.

Ostatecznie konflikt załagodzony został tem, że dyrektor Heller wydał drugi okólnik, w którym rozwiewa w puch groźby p. Pawlikowskiego i zobowiązuje się każdemu z pp. artystów wypłacić niezapłaconą ewentualnie przez p. Pawlikowskiego gażę.



Despotyzm w teatrze: Dyrektor sceny lwowskiej Tadeusz Pawlikowski, którego „ukaz“ do artystów, krępujący ich wolność osobistą, wywołał u publiczności zdziwienie i oburzenie.

Niezrównana Nora.

Prasa krakowska jednomyślnie stwierdziła wielki, niepowszedni sukces pani Morskiej, jaki artystka ta przebojem zdobyła sobie w cyklu Ibsenowskim, rolą Nory, w sztuce niezrównanego dramaturga p. t. „Dom lalki“.

Sprawozdawcy teatralni porównywują kreacyę artystki z interpretacyami najznakomitszych wykonawczyń tej postaci.

Szczerze winszując niewdzięcznych zresztą dla artystki laurów, nie możemy opędzić się smutnym refleksyom. Oto pierwszorzędny ten talent nie mógł znaleść miejsca na naszych stołecznych scenach i przenosi się daleko od nas — na scenę wileńską.

Jakież względy nie pozwoliły dawnym dyrektorom zatrzymać tej artystki, jakie względy nie pozwalają obecnym pozyskać dla której z naszych scen tej niepospolitej siły? — To rzecz niewytłómaczona.

Trzy takie artystki jak Siemaszkowa, Morska i Mrozowska ustępować muszą ze scen warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej.... nie mając po sobie godnych następczyń.

Pierwszy występ „Czwartaków“.

W niedzielę ubiegłą zapowiedziało pierwszy swój występ publiczny gniazdo „Czwartaków“ Sokoła warszawskiego.

Do popisu przygotowało się około 300 „sokołów“.

Boisko na Dynasach przybrano w barwy narodowe i emblematy sokole.

Ćwiczenia zapowiedziano na godzinę trzecią popołudniu.

Pierwszy ten publiczny występ dzielnej młodzieży obudził duże zajęcie, to też publiczności zebrały się tłumy.



Niezrównana Nora: Znakomita artystka dramatyczna, Gabryela Morska-Popławska, która świetny sukces odniosła występem na scenie krakowskiej jako Nora w „Domu lalki“ w cyklu Ibsenowskim.



Koło amatorów sztuki dramatycznej w Warszawie: Licząc od lewej ku prawej, stoją w tyle: Jadwiga Dzierzkowska, Stanisław Chruścielski, Cezara Skorynówna, Stefan Micewicz, Zofia Koetzlerówna, Andrzej Kulwieć, Lucyusz Gernatowski; przed nimi siedzą: Zygmunt Salinger, Kazimierz Tołoczko, Władysław Staszkowski (reżyser), Witołd Nowakowski, Jadwiga Skorynówna, Stefan Krasnodębski; u stóp ich na poduszce Jan Sikorski. (Zdjęcie zakładu fot. Czesława Kulewskiego).

Tymczasem na chwilę przed godziną trzecią lunął deszcz. Ponieważ horyzont zachmurzył się i nie zapowiadał pogody — postanowiono ćwiczenia rozpocząć.

Jakoż pod potokami ulewnego deszczu, wykonano ćwiczenia z laskami, lancami i maczugami.

„Sokołom“ dotrzymała placu publiczność, która moknąc, oklaskami nagradzała wytrwałość i hart młodzieży.

Wystawa robót kobiecych w Krakowie.

W pięknych salach pierwszego piętra Szkoły robót kobiecych przy ul. Kolejowej w Krakowie, mieściła się przez kilka dni bieżącego tygodnia wystawa prac uczenic tejże szkoły. Cała wystawa na ogół robiła wrażenie jak najlepsze, świadcząc o umiejętnem kierownictwie i pilności uczenic, które nie szczędziły pracy, ni trudu, by robotami swemi wystawić sobie i szkole, w której się uczą, jak najlepsze świadectwo. Cel został osiągnięty. Na każdym kroku spotykaliśmy na wystawie wspomnianej prawdziwe artystyczne cacka, istne arcydzieła kobiecych rączek, wykończone mistrzowsko, wykonane starannie, ze smakiem artystycznym i tą miękkością i wdziękiem, jaki tylko pańskie rączki tchnąć mogą w wysnuwające się z pod ich palców koronki, ściegi, hafty i aplikacye. Dość wspomnieć, że przy każdej ścianie, przed każdym drobiazgiem, trzeba się było zatrzymać, każdy chwytał za oko, każdy przykuwał wzrok i gust artystyczny. A było co widzieć, bo wystawa zajęła prawie pięć dużych pokoi.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya, przedstawia zdjęcie jednej ściany w sali wystawowej haftów i aplikacyi. Sala to może najbardziej efektowna, w niej bowiem, w pracach uczenic, złożyła się na jedną wspaniałą całość subtelna i staranna robota, wraz z artystycznym rzeczywiście polotem.

Są to wszystko rzeczy nadzwyczajnie piękne i efektowne, mogące śmiało stanowić ozdobę najprzedniejszego salonu.

Zacznijmy jednak od wejścia. Zaraz po prawej



Pierwszy występ „Czwartaków“: Pierwszy popis publiczny gniazda „Czwartaków“ nowego „Sokoła“ w Warszawie; ćwiczenia na Dynasach w czasie ulewnego deszczu. Jedyny ten w swoim rodzaju popis fotografował wyłącznie dla „Now. Ill.“ Nemo.

uderza w oczy wspaniały, przepysznie wzorowany ornat, wykonany przez dzieci ze Zakładu p. Żurowskiej na Zwierzyńcu. Oprócz ornatu znajduje się tam cały szereg robót kościelnych, stuł i t. p. wykonanych z precyzyą i zadziwiającem wykończeniem, jak na młody stosunkowo wiek dziewczynek, które te rzeczy wykonały. Dalej są tam prześliczne wyszywania bułgarskie, śliczna makata, wykonana haftem kolorowym przez pannę Blöder, ściegi staroweneckie, przepyszny ornat w stylu zakopiańskim, śliczny, misternie wykonany haft *rococowy*, istne arcydzieło kobiecych rączek ze wstążeczek różnokolorowych. Dalej przykuwa oczy ptak rajski i czapla, cudowne wprost hafty panny Mroczkównej, wspaniały, jaśniejący przepychem barw paw, na makacie haftowany, dzieło panny Robo-



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Wystawa robót kobiecych w Krakowie: Sala haftów i aplikacyj na zamkniętej onegdaj wystawie szkoły robót kobiecych przy ulicy Kolejowej w Krakowie.

tównej, walka kogutów, mogącą stanowić istny sam w sobie zamknięty obraz, dzieło panny Stawowczykównej i mnóstwo innych. Na środku widnieją dwa przepyszne sztandary, jeden dla Sokoła w Brzesku, drugi dla Tow. imienia Mickiewicza w Przemyślu. Sztandary te, to dzieła rąk pp.: Ja-



W klatce pantery: P. Zygmunt Bartkiewicz, literat i korespondent pism warszawskich, bawiący się w ogrodzie zoologicznym w Paryżu z panterą, który omal nie padł w tych dniach ofiarą.

śkiewiczównej, Jachiciównej i Popowczykównej. Na drugiej ścianie lśniące przepychem dwa flamingi, na dole znakomicie wykonany obraz haftowany i makata p. Feinknopfównej.

Na razie o wystawie tyle. Raz jeszcze zaznaczyć musimy, że szkoła ta, zostająca pod kierownictwem dyrektora szkoły wydz. p. Adama Geticha, rozwija się znakomicie i godna jest najwyższej pochwały. Szkoda tylko, że wystawa trwała zbyt krótko. Powrócimy do niej jeszcze w następnym numerze.

W klatce pantery.

Znanego literata, p. Zygmunta Bartkiewicza, korespondenta paryskiego pism warszawskich, spotkał przykry wypadek. P. Bartkiewicz w ostatnich czasach zajmuje się badaniami nad życiem dzikich zwierząt i w tym celu często przebywał w paryskim ogrodzie zoologicznym.

W tych dniach gdy p. Bartkiewicz wszedł do klatki pantery, która zresztą zawsze była łagodna, zwierzę niespodziewanie rzuciło się na p. Bartkiewicza i dotkliwie go pokaleczyło. Paru gości z trudem wyrwało p. Bartkiewicza z pazurów dzikiej bestyi. P. Bartkiewicza umieszczono w pobliskim szpitalu.

Okaleczenia są na szczęście powierzchowne, wypadek cały skończył się zatem na pamiątce w postaci śladów pazurów pantery.

Tragiczna śmierć studenta.

Na torze kolejowym koło Swoszowic zdarzył się w poniedziałek w południe tragiczny wypadek przejechania przez pociąg ucznia gimnazyalnego. Ofiarą padł młodziutki Alfred Leśniak, uczeń II. klasy gimnazyum podgórskiego, syn właściciela dóbr we Wróblowicach.

P. Leśniak ma w gimnazyum podgórskiem dwóch synów, którzy codziennie po ukończeniu nauki wracali pociągiem w towarzystwie swego instruktora, starszego ucznia gimnazyalnego, do Swoszowic, stamtąd zaś końmi do Wróblowic. W poniedziałek Alfred Leśniak, którego portrecik zamieszczamy obok, wyszedłszy z gimnazyum o godzinie 12 w południe, a nie chcąc czekać na brata i instruktora, którzy mieli wyjść o godzinie 1, poszedł sam piechotą z Podgórza do Swoszowic. Przed stacyą kolejową w Swoszowicach zatrzymał się przy rampie, obok której przejeżdżał pociąg towarowy, dążący z Krakowa do Swoszowic. W chwili, gdy ostatni wagon mijał rampę, Alfred Leśniak chciał przebiedz przez tor, nie widząc, że z drugiej strony nadchodzi pociąg osobowy, który w dzień ten zaczął właśnie kursować, jako pociąg kąpielowy. Pochwycony przez lokomotywę, chłopczyna runął pod koła i zginął straszliwą śmiercią na miejscu.

Śp. Alfred był wzorowym uczniem i bardzo dobrem dzieckiem. Tragiczny jego zgon wywołał serdeczne współczucie i żal nie tylko u kolegów nieszczęśliwego, ale i u profesorów.

W rocznicę bitwy pod Custozzą.

Dnia 24 b. m. urządził 10 pułk artyleryi w Przemyślu uroczystość na pamiątkę bitwy pod Custozzą w r. 866, gdzie pułk ten odznaczył się walecznością.

Corocznie pułk 10 artyleryi obchodzi rocznicę tej bitwy świątecznie. Zwłaszcza w tym roku ze względu na 40 rocznicę, uroczystość odbyła się z większą ceremonią.



Tragiczna śmierć studenta: Śp. Alfred Leśniak, uczeń gimnazyum podgórskiego, syn właściciela dóbr we Wróblowicach, którego w poniedziałek przejechał pociąg koło Swoszowic.

Przedpołudniem odbyło się na cześć poległych uroczyste nabożeństwo w kościele wojskowym. Popołudniu tegoż dnia począwszy od godziny 4-tej, odbywały się na podwórzu koszar różne przedstawienia, wykonane przez podoficerów tegoż pułku. Różne sztuki konno wykonywali podoficerowie z nadzwyczajną zręcznością.

O godzinie 10-tej w nocy skończyła się uroczystość przedstawieniem „Zdobycie Custozzy w r. 1866" przez artyleryę polną.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych" M. Münz we Lwowie.

Nasi bartnicy: Kurs pszczelniczy świeżo odbyty we Lwowie; grupa uczestników kursu wraz z inicyatorami, kierownikami i instruktorami.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

W rocznicę bitwy pod Custozzą: Grupa uczestników uroczystości wojskowej w Przemyślu, z okazyi rocznicy bitwy pod Custozzą, urządzonej przz 10 pułk artyleryi, który w tej bitwie odznaczył się walecznością; wśród gości komendant korpusu przemyskiego z generalicyą.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

12 (Ciąg dalszy).

Dziecko było uzdrowione.

Ale jakim sposobem to się stało?

Wszak lekarz orzekł, że zdaniem powagi medycyny, nie może być mowy o ocaleniu chłopczyka w tej ciężkiej chorobie. Wszak zarówno rodzice, jako też domownicy widzieli wyraźnie, iż dziecko w oczach ich zaczynało już konać.

Przecież sam pan Edward, niedawno, siadając przy łóżku Czesia, zanim się zdrzemnął, doznał również tego wrażenia, iż rozpoczęła się już agonia. Cóż tu mogło zatem zajść przez ten czas krótki. Nie spał przecież długo. Przez pół otwarte oczy jego, jeszcze niezbyt dawno, widziały krzątającą się po cichutku przy chorym starą Teklunię po wyniesieniu omdlałej dziedziczki...

Zachodził w głowę naprzód, jak się to stać mogło, żeby on nic nie wiedział o powrocie tercyarki... Kiedy ona przyjechała, kto ją przywiózł? Wszystko to dla niego były zagadki nie do rozwiązania.

Radość mieszała się w nim z przestrachem i zdumieniem.

W uszach świdrowały mu bez przerwy duszę jego, głośne a tajemnicze słowa Felicyi, jakie go z drzemki wyrwały: „syn twój uzdrowiony“.

Któż go uzdrowił — odpowiadał swym myślom takiem znów pytaniem pan Edward, skłonny do uwierzenia, iż ma do czynienia z cudem.

Wszystko tak się składało, że w jego oczach mogło się wydawać, iż uzdrowienie dziecka było jedyną i wyłączną zasługą siostry Felicyi.

To też kiedy dziedzic raz jeszcze nachyliwszy się nad synem, stwierdził stanowczo polepszenie zbyt rzucające się w oczy, by można było wątpić, a tercyarka zostawiwszy na kołdrze, trzymany dotąd przez nią obrazek, sama powstała z klęczek — naraz do jej stóp runął pan Edward na kolana i całował kraj habitu.

— Przebaczenia — szeptały jego wargi.

— Już ci przebaczyła Najświętsza Panna — odparła Felicya, dając mu znak ręką, żeby się dźwignął z podłogi.

Wstając powoli, całował pan Edward tercyarkę po rękach gorąco z tem przekonaniem, iż jej zawdzięcza wyłącznie cudowne ocalenie dziecka.

Wprzódy bowiem nie szemrał on z tego powodu, że dziecko umiera, albowiem był przekonany, że skoro taka jest wola Boża, to na pewne nie było potrzeba powstrzymywać śmierci dziecka, jako uznanej w niebie za rzecz pożyteczną.

Teraz w skłonności swej do mistycyzmu ujrzał on naraz znak wyraźny z Niebios.

W sposób dla niego niewytłómaczony zjawiła się późnym wieczorem we dworze siostra Felicya i w chwili, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa, dziecko już powoli konało — uzdrowiła je od razu samem dotknięciem niemal, jak mu się zdawało.

Co to znaczyć miało?...

Jął dziedzic rozważać to wszechstronnie.

A więc przyjął on żonę z powrotem pod dach swój i od tej chwili Bóg zaczął odwracać się od niego, bo synowi choremu pogarszało się widocznie, aż wreszcie życie uchodziło już z dziecka...

Kiedy zaś powróciła do niego siostra Felicya, dał się Bóg natychmiast przebłagać, dając znak widoczny Swej łaski — jak rozumował pan Edward — bo duch ulatujący z dziecka powrócił do chorego ciałka i ożywił je nanowo...

— Co mam sądzić o tem — pytał sam siebie — wszak w tem dowód najlepszy, że ludzkie języki czerniły niesłusznie Felicyą, a jam uwierzył, zamiast stanąć w jej obronie jeszcze, tem bardziej, że to było jasne, iż biedna niewiasta padła ofiarą napaści waryata...

Cóż mogło być w tem wszystkiem podejrzanego? Postępki szaleńców są wszakże nieobliczalne... On w jakiemś uniesieniu ascetycznem zdarł z niej bieliznę, żeby ją wychłostać...

Jak można było stąd wyprowadzać inne wnioski.

W podobny sposób rozmyślając nad tem wszystkiem, nabrał pan Edward przekonania, że powinien jedynie siostrze Felicyi zaufać w zupełności i w dalszym ciągu, jak poprzednio, postępować w myśl jej rad i wskazówek.

Tak się też stało rychło.

Nie dowiedział się on już nigdy o tajemnym postępku poczciwej Tekluni, która nie odważyła się wyznać przed nikim, jak ryzykownego środka użyła po cichu w celu spróbowania, czyby się nie udało jeszcze uzdrowić, dosłownie na śmierć skazanego dziecka, a zataiła czyn swój nawet i wówczas, gdy skutki jej kroku okazały się właśnie tak pomyślne. Nie przeczuwała bowiem staruszka, jak źle czyni swojem milczeniem...

Gdyby to mógł był w porę dziedzic dowiedzieć się z jej ust, czyją zasługą było właściwie ocalenie Czesia — i gdyby był zechciał uwierzyć...

Ale podobnie pan Edward nie dowiedział się nawet tego, jak Felicya powróciła z folwarku.

Nijakiej cudowności nie było zaś w jej zjawieniu się nagłem a cichem u łóżeczka chorego Czesia.

Wychłostana boleśnie przez waryata w ową noc fatalną, położyła się na dłużej do łóżka. Pierwszego dnia nie tylko dźwignąć się nie zdołała, ale z trudem mogła na posłaniu przewrócić się z boku na bok. Gdzieniegdzie nawet skóra jej popękała od mocnych razów grubym sznurem po ciele. To też dziewka folwarczna po kilkakroć na dzień maściami smarowała ją pilnie, gdy jej tercyarka przyrzekła sowicie opłacić usługi...

Blizny goiły się powoli, ale skutecznie, że po paru dniach Felicya wstała nakoniec, a czekała już na tę chwilę tem niecierpliwiej, ile że spokoju nie dawała jej myśl o pani Edwardowej.

— Gdzieżby indziej mogła dziedziczka pojechać, jeśli nie do dworu...

Skoro zaś nie powraca na folwark ani sama, ani też w towarzystwie męża, skoro dalej nie przyjeżdża tutaj Edward, mimo, że musi wiedzieć o wszystkiem, co tu zaszło i nie doczekał się powrotu mojego do dworu, w takim razie pojednał się z żoną, czyli...

I tu czarne myśli ogarniały tercyarkę.

Domyślała się niedwuznacznie, że Edward wymknął się z jej sideł, a opanowała go żona.

Nie działać natychmiast, znaczy stracić go już na zawsze...

Z chwilą zatem, gdy uczuła, że ma już dość siły, by zdecydować się na wyjazd z folwarku, poczyniła zaraz pierwsze kroki w tej mierze.

Obawiała się widzenia z księdzem Janem po tem, co zaszło, a z drugiej strony uważała za potrzebne zobaczyć się z nim w każdym razie przed swym wyjazdem z folwarku.

Namyślała się długo Felicya, jakby to spotkanie urządzić, lecz ile razy miała już zamiar zbliżyć się do drzwi, za któremi znajdował się waryat, za każdym razem odczuwała jeszcze ból dotkliwy w całem ciele: pręgi czerwone po skórze od ciegów sznura księżowskiego paliły ją, jak ogniem.

Cofała się tedy z miejsca, ale żadną miarą nie mogła wyrzec się widzenia z Janem.

— Idź do księdza — poleciła wreszcie dziewce sprzątającej w pokoju jadalnym — i powiedz, że odjeżdżam, chciałabym więc pożegnać się... Zapytaj, czy można wejść...

Mówiła to głośno i dobitnie, wiedząc, że za zamkniętemi drzwiami musi ją Jan usłyszeć wyraźnie.

Dziewka nieśmiało klamkę nacisnęła, drzwi uchyliła z lekka i przystanęła w progu.

Zanim zdążyła powtórzyć, co jej kazano, rozległ się po pokoju ostry głos waryata:

— Sznurem smagała ciało grzeszne ręka ojca Antychrysta, a zaś żelazem do czerwoności rozżarzonem karać będzie rozpustnice sam Antychryst, gdy rychło nadejdzie...

Usłyszawszy takie słowa z ust urojonego proroka Jana, zbladła tercyarka, zachwiała się i przysiadłszy na krześle najbliższem, dała znak ręką służącej, by coprędzej drzwi zamknęła. (C. d. n).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwszą grecki alfabet zawiera,
Wspak druga i wspak trzecia — to polskie litery,
A że *czwarta* brzmi także jakoby litera,
Więc *razem* w tej szaradzie mamy liter cztery.
Kto *pierwsza-czwarta* wiele, a zaś mało *czwarta*,
Nie dobrze czyni i przyznacie sami,
Że taktyka taka szeląga nie warta.
Całości poszukaj pomiędzy górami.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Z następujących liter:

1 2 3

a a w

a d w

1 k n a g n o r 1

2 o r a g r r z 2

3 s s a j ó ó z 3

a j w

a k y

1 2 3

ułożyć trzy wyrazy w tym samym porządku, w jakim podane są litery o znaczeniu następującem:

1/1 Miasto w Galicyi.
2/2 Ulica w Krakowie.
3/3 Stacya kolejowa w Galicyi na linii Przeworsk-Rozwadów.

ZAGADKA.

Ułożył E. B.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko dwóch znanych parlamentarzystów Koła polskiego w Wiedniu.

X O O O O X

X O O O X

X O O O X

X O O O O O O O X

X O O O O O O O O X

X O O X

X O O X

X O O O X

X O O O O O X

X — — X

X O O X

X O O O O O O X

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Stop miedzi, używany w mennicy i do lania dzwonów. 3. Trofea myśliwskie. 4. Miasto i prowincya w Hiszpanii. 5. Miasto w Indyach Zachodnich. 6. Grupa wysp malajskich w Holandyi. 7. Bóg wojny. 8. Port i wyspa u wejścia do Zatoki perskiej. 9. Imię męskie. 10. Samogłoska i spółgłoska. 11. Metal, wytapiany ze sfalerytu. 12. Sławny wódz i kanclerz polski.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, al, ar, ba, bad, brouz, c, cynk, de, ec, gi, by, i, leu, mars, moj, muz, nold, or, ra, ro, rou, ski, te, ty, wa, za.

Kryptogram.

Ułożył E. B.

X

O X O

O O X O O

O O O X O O O

X X X X X X X X X

O O O X O O O

O O X O O

O X O

X

Gwiazdki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł satyryczno-humorystycznego pisma, które do niedawna wychodziło w Warszawie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. To, co spada z òcz, gdy człowiek płacze. 3. To, co rośnie na łąkach 4. Dwa dopływy Wisły w Galicyi. 5. ? 6. Imię księcia litewskiego. 7. Wicher, grasujący często na południu. 8. Zwierzę pociągowe. 9. Spółgłoska.

Arytmogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

8

2 3 5

4 3 7 1 6

8 3 7 3 9 1 10

11 12 9 3 13

2 1 6

10

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w poziomym i pionowym czytane kierunku, utworzyły nazwę wsi pod Warszawą.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Autor pieśni „O ziemi naszej“. 3. Ptak. 4. ? 5. Miasto w Galicyi. 6. Liczba ułamkowa. 7. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort ponczowy** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 24.

Szarady.

I. Operacya. — II. Karyera.

Logogryf.

Pseudonim, **a**spa**n**i, **n**osoroże**c**, **T**eodory**k**, **A**pponyi, **D**ant**e**, **E**za**w**, **U**jejsk**i**, **s**urowie**c**, **z**dobyc**z**.

Pan Tadeusz. — Mickiewicz.

Zagadka.

Pilnikarstw**o**, **R**omual**d**, **z**łotogłó**w**, **Y**pern-Charlero**i**. **B**udziejowic**e**, **Y**-**c**, **s**iekac**z**, **Z**eno**n**, **E**lektr**a**, **w**yrą**b**, **S**abin**a**, **K**ara**ś**, **I**wonicz-Lubie**ń**.

Przybyszewski. — Odwieczna baśń.

Arytmogryf literacki.

Ć**m**a, Pl**a**ma, Lou**r**des, D**y**m, P**a**nna Mery, Ha**n**ia, Epi**g**oni, Gal**a**tea, E**w**a, Hura**g**an, La**l**ka, N**e**a, Wdo**w**iec, Półz**i**ewice, Zo**c**ha, Ką**dz**iel.

Maryan Gawalewicz.

Arytmogryf.

M, S**a**n, st**u**ła, pie**r**rot, Nar**zy**mski, **Maurycy Zych**, Gier**y**mski, Kur**z**awa, br**y**ka, o**c**h, **h**.

Maurycy Zych.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Burdowicz Buczacz, K. Ludwig Borysław, M. Pfeiffer Przemyśl, Al. Bocsoń Bóbrka, K. Bobek Zakopane, J. Kulczyńska Zakopane, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Wesoła Zakopane, J. Wodziczkówna Germakówka, M. Weimerowa Przybysławice, J. Jaroszkówna Przybysławice, Fr. Oborniak Budapeszt, Fr. Janicki Łazy, T. Domain Sanok, W. Oknińska Zawiercie, Fr. Kośmider Nowy Sącz, J. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, J Zaleski Łańcut, J. T. Flura Uhnów, K. Jasiński Kraków, M. Bartelmusowa Lwów, Dr. J. Kasparek Lwów, A. St. Bassara Niwiska, P. Smaga Śniatyn, W. Pisiewiczowa Śniatyn, K. Chodkiewicz Zbydniów, H. Leligdowicz Fraga, Urząd pocztowy Starzawa, E. Mroziński Mosty wielkie, Wł. Nowiccy Wiśnicz, St. Nidjol Kraków, J. Czechowicz Mikołaców, J. Haładej Górki, O. Paszkowska Fiume, H. Banke Kraków, L. Ciechanowska Stary Sambor, E. Bogdalska Koropuż, F. Sichulska Kraków, St. Bernacka, O. Tłuchowski Warszawa, Br. Rudkowska Lwów, J. Sulkowski Kraków, Z. Olszewski Dubowce, Fr. Kalita Gawłuszowice, H Plechawska Stanisławów, H. Mokrzycka Turbia, J. Biegoń Sucha, M Rożański Gorlice, H. Zielińska Manajów, J. Barański Lwów, M. Świtlikowa Rzeszów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał **p. St. Nidjol w Krakowie**. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

NA WARCIE.

(Autentyczne).

Młody akademik, służący przy wojsku jako jednoroczny ochotnik, stoi na warcie koło szańców, okalających do koła cały Kraków. Wtem nadchodzi stara baba, a nie wiedząc widocznie, że przechód koło szańców jest niedozwolony, pakuje się wprost na stojącego na warcie akademika.

Akademik krzyczy: „Wer da!?“

— Niech się pan żołnierz nie boją, to ja — odpowiada uspakajająco baba.

Madryt w modzie.

— Ach, jakżeś mnie pan przestraszył — woła panienka, której narzeczony skradł nagle całusa — myślałam, że to bomba w bukiecie kwiatów...

— Kiedy to jeszcze nie ślub, proszę pani...

W takim razie.

— Najmocniej panią przepraszam, żem tu wpadł jako obcy tak niespodzianie, ale dozorca mówił mi..

— Ile mu pan dał do łapy?

— Pięć koron.

— W takim razie mówił panu prawdę.

Trafiła.

— Czy nie mogłabym dostać u pana proszku na pchły — zapytuje się zarumieniona po uszy panienka otyłego kupca w sklepie korzennym.

— Załuję mocno, łaskawa pani, ale jako członek ochrony zwierząt, nie mogę się przyczyniać do ich wytępiania.

W biurze pośrednictwa małżeństw.

Ekscentryczna panna: — Mój panie, chciałabym dostać męża koniecznie o włosach czerwono-rudych...

Pośrednik: — W tej chwili akuratnie to nie mogę pani takim służyć... Ale to nic nie szkodzi, gdyż zaraz go się przefarbuje na kolor, jakiego pani pożąda.

Ona zna siebie.

Młody i przystojny syn bogatego przemysłowca łódzkiego przychodzi z wyjątkowo kwaśną miną do pięknej strojnisi, znanej z rozrzutności eks-szansonistki.

— Cóżeś ty dziś taki skrzywiony — pyta go na powitanie kokota.

— Eh, nic ważnego... przegrałem właśnie przed chwilą dziesięć tysięcy...

— No, no... róbże tak dalej mój kochany... a ręczę ci, że i w miłości stracisz rychło szczęście..

Na letnisku.

— Powiedzcie mi, moja kobiecino, z czego tu właściwie żyją ludzie?

— Jakto z czego?... z powietrza, proszę łaski pani...

NADESŁANE.

Jednej z prenumeratorek we Lwowie!

Proszę podać na korespondentce swój adres „poste restante“, gdyż chcę dokładnie odpowiedzieć.

K. Ch. Zbydniów.